

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**AUGUST STRINDBERG**

# **BAJKI**

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS  
GDAŃSK 2002**

## SPIS TREŚCI

W sobótkowy czas ...  
Wielka arfa .....  
Śpioch ....  
Pilot morski w tarapatach .  
Fotografia i filozofia .  
Urwana kartka  
Triumfator i błazen ...  
Kiedy czerniczek zamieszkał w szklaku  
Tajemnice tytoniowej stodoły ...  
Opowieść świętego Gotharda ...  
Jubal bez własnego ja ..  
Złotogłowi z Ålleberg ..  
Jak modraszek znalazł złotorost ..

## W SOBÓTKOWY CZAS

W sobótkowy czas, kiedy ziemia w północnych krainach staje na ślubnym kobiercu, gleba się raduje, źródło tryska, polne kwiaty strzelają w górę i ptaki śpiewają, nadleciał z lasu gołąb i usiadł przed chatą, w której leżała w łóżku dziewięćdziesięcioletnia mateczka.

Staruszka leżała już tak od dwudziestu lat i jedynie przez okno mogła oglądać to, co działo się na podwórzu, gdzie gospodarzyli jej dwaj synowie. Widziała świat i ludzi na swój szczególny sposób, gdyż zmatowiałe szyby okienne miały w sobie różne kolory tęczy i wystarczyło tylko trochę odwrócić głowę, by wszystko wydawało się to czerwone, to żółte, to zielone, to znowu liliowe. I tak na przykład w zimowy dzień, kiedy oszronione drzewa wyglądają jak obsypane srebrnymi liśćmi, odwracała głowę na poduszce i te same drzewa stawały się zielone; było lato, pola słały się złotem, a niebo się niebieszczyło, nawet jeżeli samo w sobie było naprawdę szare. Staruszcze wydawało się, że umie w ten sposób czarować i dlatego nigdy jej się nie nudziło. Ale zaczarowane szyby miały jeszcze jedną cechę: ponieważ były krzywe, pokazywały wszystko, co znajdowało się za nimi, raz większe, a raz mniejsze niż w rzeczywistości.

Kiedy więc jej dorosły syn wracał zły do domu, krzycząc na całe podwórze, matka wypowiadała życzenie, żeby znów stał się malutki i miły, i zaraz widziała go takim. Albo kiedy nadchodzili jej wnukowie, kołysząc się niepewnie na małych nóżkach, zamyślała się nad ich przyszłością i – raz, dwa, trzy – pojawiali się w szybie, niczym w szkle powiększającym, dorośli, wyrośnięci, prawdziwe wielkoludy.

Ale, kiedy nadeszło lato, pozwoliła otworzyć okno, gdyż szyby nie mogły pokazać tego, jak pięknie było na dworze. A teraz, w sobótkowy wieczór, gdy było chyba najpiękniej, leżała patrząc na łąkę i pastwisko, gdzie gołąb wyśpiewywał swą pieśń. Śpiewał prześlicznie o Jezusie Chrystusie, radościach i wspaniałościach królestwa niebieskiego, zapraszając tam wszystkich, którzy są spracowani i dość mają trudów tego świata.

Staruszka słyszała pieśń, ale nie przyjęła zaproszenia, bo na ziemi było dziś tak pięknie, jak w niebie, i nie życzyła sobie niczego lepszego.

Gołąb poleciał więc ponad łąką aż do zagajnika na wzgórzu, gdzie pewien wieśniak kopał studnię. Stał głęboko w dole, mając nad głową ze trzy łokcie ziemi, zupełnie jak we własnym grobie.

Gołąb usiadł na świerku i rozśpiewał się o radościach królestwa niebieskiego, pewien, że człowiek, który nie widzi nieba, morza ani łąki, musi tęsknić za tym, co jest na górze.

– Nie – powiedział jednak wieśniak – muszę najpierw wykopać studnię, bo inaczej nie będzie wody dla mojej letniczki i ta nieszczęśliwa kobieta przeprowadzi się wraz z dzieckiem gdzie indziej.

Gołąb poleciał więc nad brzeg morza, gdzie brat wieśniaka wyciągał sieć. Usiadł w szuwarach i zaczął śpiewać.

– Nie – powiedział brat wieśniaka – muszę przede wszystkim zdobyć jedzenie, bo inaczej dzieci zapłakałyby się z głodu! Później! Później! Mam jeszcze czas, żeby pójść do nieba! Najpierw życie, potem śmierć!

Gołąb pofrunął więc do domu, w którym na czas lata mieszkała owa nieszczęśliwa kobieta. Siedziała teraz na werandzie i szyła na ręcznej maszynie. Jej biała jak lilia twarz odcinała się od czerwonego pilśniowego kapelusza, który niczym polny mak leżał na jej czarnych jak żałobny welon włosach. Chciała uszyć dla córeczki śliczny fartuszek na świąteczny sobótkowy wieczór. Dziecko siedziało na podłodze u jej stóp i cięło skrawki materiału.

– Dlaczego tata nie wraca do domu? – spytała dziewczynka.

Było to właśnie owo trudne pytanie, na które młoda matka sama nie umiała dać odpowiedzi. Nie umiał też na nie odpowiedzieć ojciec, który gdzieś w obcym kraju próbował utulić swój smutek, dwakroć jeszcze większy od smutku matki.

Maszyna szła z trudem, ale wciąż kłuła i kłuła. Tyle było tych ukłuć, ile tylko może znieść ludzkie serce, zanim się całkiem wykrwawi. A co dziwniejsze, każdy szew wiązał nitkę jeszcze mocniej z materiałem.

– Chciałabym pójść dziś do wsi, mamu! – powiedziała mała. – Chcę na słońce, tu jest tak ciemno.

– Pójdziesz na słońce po południu, moje dziecko!

W tej części wyspy pomiędzy wysokimi skałami wybrzeże było naprawdę ciemne. Dom stał pośród czarnych świerków, które zasłaniały widok, nawet na morze.

– Chcę, żebyś mi kupiła dużo zabawek!

– Nie mamy za co ich kupić, dziecino! – odparła matka opuszczając jeszcze niżej głowę.

To prawda. Dobrobyt się skończył, a zaczęły kłopoty. Tego lata nie miały już nikogo do pomocy i matka musiała wszystko robić sama.

Kiedy ujrzała rozżaloną twarzyczkę dziecka, podniosła je i posadziła sobie na kolanach.

– Obejmij mamę za szyję! – powiedziała.

Dziewczynka objęła ją.

– Pocałuj mamę!

Malutkie, na wpół otwarte niczym u pisklęcia usteczka obdarowały ją pocałunkiem.

Popatrzyły na nią oczy niebieskie jak kwiatki lnu i pod wpływem tej niewinnej dziecięcej świeżości rozjaśniła się piękna twarz matki, która w blasku słońca sama wyglądała jak szczęśliwe dziecko.

Nie będę tu śpiewał o królestwie niebieskim, pomyślał gołąb, lecz jeśli będę potrzebny, to im pomogę.

I pofrunął do Solbyn, dokąd miał posłanie.

Nastało popołudnie. Kobieta wzięła koszyk na ramię i dziecko za rękę. Nigdy przedtem nie była we wsi, wiedziała jednak, że leży tam, gdzie zachodzi słońce, a więc po drugiej stronie wyspy. Wieśniak mówił, że zanim dojdzie się na miejsce, trzeba przejść przez sześcioro wrót w sześciu płotach.

Poszły więc.

Początkowo ścieżka była kamienista, pełna wystających korzeni i trzeba było nieść małą. Ciężko się szło, a lekarz zabronił dziecku nadwężania lewej nogi, gdyż była zbyt słaba i łatwo mogła się skrzywić.

Młoda matka ugiwała się pod słodkim ciężarem, a krople potu spływały jej po twarzy, gdyż w lesie panował upał.

– Chce mi się pić, mamu – narzekała dziewczynka.

– Cierpliwości, kochanie, dostaniesz wody, jak dojdiesz na miejsce.

Pocałowała spieczoną usteczka i dziecko uśmiechnęło się zapominając o pragnieniu.

Słońce wciąż piekło, a powietrze w lesie było nieruchome.

– Spróbuj teraz trochę pójść sama – poprosiła matka, stawiając dziecko na ziemi.

Lecz chora noga wciąż się chwiała i dziewczynka nie mogła iść sama.

– Jestem taka zmęczona, mamu – powiedziała – i usiadła przy drodze, by się wypłakać.

Rosły tam przepiękne różowoczerwone dzwoneczki, pachnące migdałami. Dziewczynka nigdy przedtem nie widziała takich małych kwiatków. Uśmiechnęła się. Dodało to matce nowych sił do dalszej wędrówki z dzieckiem na rękę.

Dotarli do pierwszych wrót, przeszły przez nie i zamknęły dokładnie na skobel.

Wtedy rozległ się przeraźliwy krzyk, podobny do rżenia, i rozpędzony koń zatrzymał się na środku drogi. Na jego rzenie odpowiedziały głosy z lasu z prawej i z lewej, i ze wszystkich

stron dokoła. Ziemia dudniła, gałęzie trzaskały, huczały kamienie. Nieszczęsne znalazły się w samym środku tabunu rozhukanych koni.

Dziewczynka ukryła twarz na piersi matki, a małe serduszko waliło ze strachu jak młotem.

– Boję się! – szepnęła.

– O Boże, wybaw nas! – modliła się matka.

Wówczas rozległ się w świerkach gwizd kosa, i o dziwo, w tej samej chwili konie rozbiegły się w różne strony. Wokół znów zapanowała cisza.

Minęły drugie wrota i zamknęły je na skobel.

Rozciągało się tam pole leżące odłogiem, a słońce paliło jeszcze mocniej niż w lesie. Szare skiby ziemi ciągnęły się długimi rzędami. Nagle poruszyły się. Okazało się, że to nie skiby, ale grzbiety stada owiec.

Owce, a szczególnie jagniątko, to miłe zwierzęta, ale z baranem lepiej nie zaczynać, gdyż bywa zły i szalony, nawet w stosunku do tych, którzy nie robią mu nic złego. A teraz właśnie nadchodził środkiem drogi. Przeskoczył rów, zwiesił łeb i wziął rozbieg.

– Boję się, mamó – powiedziała mała i serduszko zaczęło jej bić mocniej.

– O litościwy Boże, wybaw nas – westchnęła matka i popatrzyła błagalnie w błękitne sklepienie niebios.

A tam, trzepocząc się niczym motyl, fruwał malutki skowronek. Kiedy zaczął śpiewać, baran zniknął pośród szarych skib.

Minęły trzecie wrota. Ziemia zaczęła się zapadać pod idącymi, nogi przemokły. To było bagno. Kępki trawy, przystrojone białymi kwiatami wełnianki, wyglądały jak małe groby. Trzeba było bardzo uważać, by nie ugrzęznąć w mokradle. Rosły tam czarne trujące jagody, które dziewczynka miała ochotę zrywać. Gdy jej nie pozwolono, posmutniała, bo nie rozumiała jeszcze, co znaczy trucizna.

Kiedy tak wędrowały, jakaś biała zasłona zawisła nagle między drzewami. Słońce zniknęło i ogarnęła je straszliwa mroczna biel.

Z owej bieli wyłoniła się głowa z białą gwiazdą pośrodku i dwoma zakrzywionymi rogami. Głowa zaryczała. Wówczas pokazało się więcej, dużo więcej takich głów. Wszystkie powoli się zbliżały.

– Boję się, mamó – szepnęło dziecko – bardzo się boję.

Matka cofnęła się nieco w bok i wpadła w błoto między dwie kępy trawy.

– O Boże, wielki, łaskawy! Zlituj się! – krzyknęła z głębi duszy.

Wtedy dało się słyszeć wiatr, silny wiatr od morza, który pędził przez las. Drzewa ugiwały się pokornie pod jego tchnieniem. Młoda sosna pochyliła się nisko, a z jej korony popłynął jakiś szept do uszu nieszczęsnej kobiety. Matka chwyciła jedną ręką gałąź sosny, a ta wyprostowała się i wyciągnęła zrozpaczoną z błota.

W tej samej chwili mgła rozviała się, zaświeciło słońce i oto stały już przed czwartymi wrotami. Matka, która zgubiła kapelusz, wytarła dziecku łzy czarnymi włosami.

Rozśmieszyło to małą, a śmiech uradował biedne matczyne serce. Zapomniała o bólu i nabrała nowych sił, by szukać piątych wrót.

Ucieszyła się w duchu, widząc w oddali dach kryty czerwoną dachówką i flagi. Przy drodze rosły parami krzewy kaliny i dzikie róże, jakby specjalnie trzymały się razem: biała kalina i bladoczerwona róża.

Mała mogła już iść o własnych siłach. Nazrywała pełen kosz kwiatów, wśród których miała spać jej lalka Lisa, żeby w noc świętojańską mieć piękne sny.

Szły więc dalej beztrąsko, gdyż pozostał im do pokonania zaledwie lasek brzozy, tak były blisko. Ścieżka prowadziła nieco w górę na niewielkie wzniesienie. Kiedy na nie weszły i skręciły w prawo, ujrzały na środku drogi byka.

Nie sposób było uciec. Załamana matka padła na kolana, położyła dziecko przed sobą na ziemi, pochyliła głowę, by osłonić je długimi włosami niczym czarnym welonem i

wyciągnąwszy ręce odmawiała cichą modlitwę. Pot spływał jej z czoła i spadał na ziemię jak czerwone krople krwi.

O, Boże, prosila, weź moje życie, lecz ocal tę małą! Wtedy usłyszała w powietrzu uderzenie skrzydeł. Spojrzała do góry i zobaczyła białego gołębia, frunącego w stronę wsi. Była już nie żyła.

Rozejrzała się za dzieckiem, które siedziało na skraju ścieżki i zbierało poziomki, czerwone jak krople krwi. Wtedy zrozumiała, czego uniknęły.

Przeszły przez ostatnie wrota, kierując się prosto do wioski.

Leżała zalana słońcem nad zieloną zatoką, pod wielkimi lipami i klonami. Na jednym ze wzgórz widniał biały kościółek z czerwoną dzwonnica; plebania cała w bzach, poczta w jaśminach, a dom ogrodnika pod wielkim dębem. Wszystko było takie jasne. Powiewały flagi; niewielkie łódeczki objęły się o brzeg morza i pomosty. Czuło się, że to wieczór świętojański.

Nie spotkały jednak nikogo. Najpierw poszły do sklepiku, by zrobić zakupy i by dziewczynka mogła się napić.

Kiedy doń doszły, okazało się, że sklepik jest zamknięty.

– Chce mi się pić, mamo – narzekało dziecko.

Poszły na pocztę. Zamknięta!

– Jestem głodna, mamo.

Matka milczała, gdyż nie mogła zrozumieć, dlaczego w powszedni dzień wszystko jest pozamykane i dlaczego nigdzie nie ma żywej duszy. Poszła do ogrodnika. Było zamknięte, a przed bramą leżał wielki pies.

– Jestem taka zmęczona, mamo.

– Ja też, moje dziecko, musimy jednak poszukać gdzieś wody.

Chodziły od zagrody do zagrody, ale wszystko było pozamykane. Dziewczynka nie miała już siły dalej iść i ze zmęczenia utykała na nogę. Kiedy matka zobaczyła, jak ta malutka, śliczna istotka chyli się ku ziemi, dała za wygraną i usiadła przy drodze z dzieckiem na kolanach. Dziewczynka zasnęła.

Wtedy w krzakach bzu rozległ się śpiew gołębia. Śpiewał o radościach królestwa niebieskiego i o ziemskich ciągłych smutkach i zgryzotach.

Matka popatrzyła na swoje śpiące dziecko, na jego małą twarzyczkę, ozdobioną kapturkiem z białą koronką niczym płatkami białej lilii, i pomyślała, że trzyma królestwo niebieskie we własnych ramionach.

Dziewczynka obudziła się jednak i zażądała pić.

Matka milczała.

– Chcę do domu, mamo – zaczęła marudzić.

– Wracać znowu tą samą straszliwą drogą? Nigdy! Prędzej rzucę się do morza! – odpowiedziała matka.

– Chcę do domu!

Matka podniosła się. W oddali zobaczyła młode brzoźki, wystające zza pagórka, a kiedy im się dokładniej przyjrzała, zauważyła, że zaczęły się poruszać, jakby szły. Domyśliła się, że właśnie tam muszą być wszyscy ludzie z wioski. Obcinają na pewno brzoźowe gałęzie, by zbudować z nich altany na noc świętojańską. Skierowała się w stronę, gdzie mogła znaleźć wodę.

Po drodze zauważyła chatkę za zielonym płotem z białą furtką. Drzwi stały otworem i zachęcały do wejścia. Przeszła przez furtkę i znalazła się w ogrodzie, pełnym peonii i orlików. Zauważyła, że firanki w oknach są zaciągnięte i że wszystkie są białego koloru. Tylko jedno okienko na poddaszu było otwarte i jakaś biała ręka, wystająca pomiędzy dwóch balsamin machała białą chusteczką, jakby komuś na pożegnanie.

Matka podeszła do chaty. W wysokiej trawie leżał wieniec z zielonych gałązek mirtu i białych róż. Był jednak za duży jak na ślubny wianek.

Wstąpiła do sieni, pytając, czy nie ma tam nikogo.

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, weszła do chaty. Na podłodze w morzu kwiatów stała czarna trumna na srebrnych nóżkach. W trumnie leżała młoda dziewczyna w ślubnym wianku na głowie.

Ściany pokoju z nowych desek sosnowych pociągnięte były jedynie pokostem i widać w nich było wszystkie sęki. W okrągłych otworach po gałęziach tkwiły poprzeczne konary niczym źrenice oczu.

Dziecko pierwsze zauważyło te przedziwne ściany.

– Zobacz mamó, ile tu oczu!

Były tam rzeczywiście wszystkie rodzaje oczu: duże, wymowne i poważne; dziecięce, małe, błyszczące, z uśmiechem w kącikach; złe oczy łypiące białkami; oczy otwarte szeroko, czujne, przenikające w głąb serca; było też duże, łagodne oko matki, patrzące z miłością na zmarłą dziewczynę. Wisiała w nim łza z sosnowej żywicy, która w promieniach zachodzącego słońca mieniła się na czerwono i zielono jak diament.

– Czy ta dziewczyna śpi? – zapytało dziecko, które dopiero teraz zobaczyło zmarłą.

– Tak, śpi.

– Czy to panna młoda, mamó?

– Tak, panna młoda.

I w tej chwili matka poznała ją! Była to ta sama dziewczyna, która w wieczór świętojański miała wyjść za mąż za marynarza. Ale kiedy marynarz napisał, że wróci dopiero jesienią, pękło dziewczęce serce. Nie chciało czekać aż do jesieni, kiedy drzewa pogubią liście i zaczną się sztormy.

Dziewczyna wysłuchała pieśni gołębia i zrozumiała ją. Młoda matka też już wiedziała, dokąd się udać.

Postawiła ciężki koszyk przy furtce, wzięła dziecko na ręce i poszła w stronę łąki, która dzieliła ją od brzegu. Szła w morzu kwiatów, które szumiały i coś szeptały. Białą suknię miała skąpaną w ich pyle.

Rozśpiewane trzmiele, osy i motyle unosiły się na skrzydłach, tworząc przed nią złocisto barwny obłok. Szła do brzegu lekkim krokiem.

W zatoce ujrzała białą łódkę z napiętym żaglem, płynącą prosto do brzegu, ale przy sterze nie było nikogo. Brodziła dalej, skąpana w kwiatkach i ich woni, a jej biała suknia wyglądała niczym kwiecista, kolorowa łąka, lecz o jeszcze piękniejszych barwach niż ta prawdziwa.

Zatrzymała się dopiero na dole koło przybrzeżnych wierzb. Na jednej z nich między pnem a gałęzią tkwiło ptasie gniazdo.

Kiedy popołudniowy wiatr potrząsnął drzewem, zakolysały się trzy małe, ledwo opierzone pisklęta, które dziewczynka zaraz chciała pogłaskać.

– Nie, moje dziecko – powiedziała matka – nigdy nie ruszaj gniazda.

Kiedy tak stały na kamienistym brzegu, biała żagłówka podpłynęła wprost do ich stóp. Ale nikogo w niej nie było.

Matka wzięła dziecko i weszła na pokład. Łódka natychmiast zawróciła i skierowała się ku morzu.

Kiedy żeglowały koło cypla, na którym stał kościół, zwawo i radośnie rozdzwoniły się wszystkie dzwony.

Łódź wysliznęła się z zatoki i żeglowała dalej, na otwarte morze.

Dziewczynka promieniała radością, gdyż woda była nad wyraz niebieska i spokojna. Nie płynęły już zresztą po wodzie, lecz pośród kwiatów lnu, które dziecko zrywało wyciągniętą rączką.



Kwiaty kłaniały się i unosiły niczym małe fale pluszczące o dziób łodzi. Nieskończone wydawało się to pole lnu, które rozciągało się przed nimi. Naraz jednak spowiła je biała mgła i usłyszały wyraźny plusk fal. U góry, gdzieś ponad mgłą zadźwięczał śpiew skowronka.

– Przecież skowronki nie śpiewają nad morzem? – zapytała mała.

– Morze jest tak zielone, że skowronki biorą je za łąkę – odpowiedziała matka.

Mgła znowu się roziała. Niebo, jak przedtem, stało się niebieskie niczym łąka lnu, a skowronki wzbiły się w górę.

Wówczas na samym środku morza zobaczyły zieloną wyspę o białych, piaszczystych brzegach, po której chodzili ubrani na biało ludzie, trzymając się za ręce. Zachodzące słońce oświetlało złoty dach kolumnady, gdzie pod świętymi naczyniami ofiarnymi płonęły białe ognie. A w górze ponad zieloną wyspą jaśniała różowo-seledynowa tęcza.

– Co to jest, mamó?

Matka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Czy to jest królestwo niebieskie, o którym śpiewał gołąb? Co to jest królestwo niebieskie, mamó?

– To takie miejsce, gdzie wszyscy ludzie są przyjaciółmi i gdzie nie istnieje smutek ani żadne inne zmartwienie.

– Chcę tam pojechać – powiedziała dziewczynka.

– Ja także – odparła opuszczona i zmęczona życiem matka.

## WIELKA ARFA

Pewnego razu na dnie morza w pobliżu przystani dla parostatków leżała sobie węgorzyca, która wraz z synkiem przyglądała się, jak mały chłopiec szykuje wędkę, by łowić ryby.

– Spójrz na niego – powiedziała – a pojmiesz, jakie zło panuje na tym świecie i jakie są na nim zasadzki... Spójrz teraz: trzyma w ręku kij, zarzuca linkę. O, jest tam! Zaraz pokaże się ciężarek, który pociągnie linkę do dołu; oto i on; a tu mamy haczyk z robakiem! I to jest właśnie to, czego nie powinieneś brać do buzi, bo zostaniesz złapany! Tylko głupie okonie i płocie dają się nabrać. No, teraz już wiesz!

W tym momencie rozbijały się wodorosty, a z nimi małże i ślimaki, coś zapluskowało, zadudniło i tuż nad ich głowami przepłynął wielki, czerwony wieloryb. Miał płetwę ogonową niczym korkociąg i mocno nią pracował.

– To parostatek! – powiedziała stara węgorzyca. – Odsuń się!

Na górze zaczął się straszliwy hałas.

Dudniło i tupało, kiedy w ciągu dwóch sekund spuszczano ze statku trap na ląd. Niełatwo było to jednak zobaczyć, gdyż do wody leciały sadze i smary.

Na trapie postawiono coś ciężkiego, aż zatrzeszczało, i kilku mężczyzn zaczęło pokrzykiwać:

– Do przodu z nim! Hej, hop!

– Trzy, cztery! No, dalej! Przesunąć je! A niech to!

I wtedy wydarzyło się coś wprost nie do opisania. Najpierw rozległ się hałas, jakby sześćdziesięciu chłopca z Dalarny rąbało drewno, potem w wodzie utworzył się lej, sięgający aż do samego dna, i pomiędzy trzema kamieniami stanęła czarna skrzynia, która śpiewała i grała, a jej dzwonienie i dźwięczenie dotarło aż do węgorzycy i jej synka, którzy ukryli się w głębinie.

Z góry dobiegł czyjś krzykliwy głos:

– Trzy sążnie wody! Nie damy rady! Niech leży! Nie oplaca się wyciągać tego starego trupa! Drożej kosztowałaby jego naprawa, niż jest wart.

To krzyczał okręgowy inspektor górniczy, którego pianino znalazło się w morzu.

Nastała cisza. Wielka barwana oddaliła się poruszając płetwą w kształcie korkociągu i zrobiło się jeszcze ciszej. Ale kiedy zaszło słońce, zerwał się wiatr. Czarna skrzynia rozbijała się pośród wodorostów i dudniła uderzając o kamienie. Przy każdym uderzeniu słychać było granie, aż wszystkie ryby z okolicy przypląnęły, żeby to zobaczyć i posłuchać, co tak gra.

Pierwsza zjawiła się węgorzyca, a kiedy udało jej się przejrzeć w skrzyni, powiedziała:

– To jest szafa z lustrem!

Wydawało się to logiczne i dlatego wszyscy powtórzyli:

– To jest szafa z lustrem!

Potem przypląnęła ryba babka i uważnie obwąchała świeczniki, w których tkwiły jeszcze ogarki wypalonych świec.

– Gdyby nie knot, nadawałyby się do jedzenia – powiedziała.

Następnie przypląnął duży dorsz i położył się na pedale. Wtedy rozległo się w skrzyni takie dudnienie, że wszystkie ryby pouciekały.

Tego dnia niczego więcej już się nie dowiedziały.

Nocą zerwała się wichura i grająca skrzynia waliła niczym brukarska baba aż do wschodu słońca. Kiedy węgorzyca zjawiła się ponownie wraz z całym towarzystwem, zastała skrzynię całkiem odmienioną.

Wiek otworzył się niczym paszcza rekina, pokazując rząd zębów tak wielkich, jakich świat nie widział. Co drugi ząb zaś był czarny. Całe urządzenie spuchło po bokach jak ryba od ikry.

Brzegi powyginały się, pedał sterczał do góry jak noga dająca kopniaka, a ramiona świeczników pozwijały się w pięści. Paskudztwo!

– Uwaga, pęka! – wykrzyknął dorsz i machnął ogonem, gotowy do odwrotu.

– Pęka! – krzyknęli wszyscy.

W tej samej chwili odpadły boki, skrzynia otworzyła się i ukazała od środka. Było to chyba najzabawniejsze ze wszystkiego.

– To jest żak! Nie zbliżajcie się! – powiedziała węgorzyca.

– To krosna! – powiedział ciernik, który tka swoje gniazdo i zna się na tkactwie.

– To arfa – powiedział okoń, który zwykł trzymać się w pobliżu zakładów wapienniczych.

Tak, to była arfa! Tyle że z mnóstwem różnych drobiazgów i zawijasów, których nie ma w zwykłej arfie do przesiewania żwiru. Miała natomiast malutkie przyrządy podobne do palców u nóg w białych wełnianych skarpetkach. Gdy się poruszały, wprawiały w ruch stopę o dwustu kościotrupich palcach, która szła i szła, a jednocześnie wcale nie ruszała się z miejsca.

Był to jakiś dziwny stwór. Gra wnet się skończyła, bo kościotrup przestał dotykać strun. Przebierał tylko w wodzie palcami, jak wtedy, kiedy ktoś stuka knykциями, by go wpuścić do środka.

Tak, gra się skończyła! Ale oto nadciągnęły ławicą cierniki i przepłynęły przez skrzynię. Kiedy dotknęły strun kolcami, w skrzyni znów coś zagrało, tylko że inaczej, gdyż struny były rozstrojone.

Niedługo potem w pewne różowe, letnie popołudnie na przystani dla parostatków usiadło dwoje dzieci: chłopczyk i dziewczynka.

Nie myśleli właściwie o niczym – no, może o jakichś psotach – kiedy nagle usłyszeli cichą muzykę, dochodzącą z dna morza, i od razu spoważnieli.

– Słyszysz?

– Tak! Co to może być? Ktoś chyba gra gamy.

– Nie! To komary bzyczą.

– A właśnie, że nie! To syrena.

– Nauczyciel mówił, że nie ma żadnych syren.

– Nauczyciel sam dobrze nie wie.

– Lepiej posłuchajmy!

Przysłuchiwali się przez dłuższą chwilę, a potem sobie poszli.

Na przystani zaś usiadła para nowo przybyłych letników. On patrzył jej w oczy, w których odbijał się różowy zachód słońca i zielone brzegi łądu. Słyszeli muzykę niczym ze szklanej harmoniki, muzykę w jakiejś nieznannej tonacji, dokładnie taką, o jakiej marzą ci, którzy pragną zrobić coś pożytecznego na tej ziemi. Nie przyszło im jednak do głowy, by szukać źródła dźwięków poza sobą. Myśleli, że to w nich samych coś gra.

Potem nadeszła para starych letników, którzy znali tajemnicę i nie mogli sobie odmówić przyjemności, by głośno nie skomentować:

To zatopiony fortepian inspektora. Jak tylko przychodzili nowi nie zorientowani goście, którzy siadali na pomoście i zastanawiali się, co to tak gra, ciesząc się tą nieznaną muzyką, starsi szybko wyjaśniali im sztuczkę i już nie było powodu do radości.

Grająca skrzynia leżała sobie ciągle w tym samym miejscu przez całe lato. Cierniki nauczyły swej sztuki okonie, które grały nawet lepiej od nich. Pianino stało się więc wyśmienitym miejscem dla wczasowiczów do łowienia okoni. Rybacy rozstawiali wokół niego sieci, a stary stróż próbował nawet pewnego dnia złowić tam dorsza. Kiedy zarzucił wędkę z ciężarkiem od starego zegara, a potem chciał ją wyciągnąć, usłyszał pasaż w X-moll, lecz haczyk jak siedział, tak siedział. Szarpał i ciągnął, aż w końcu wydobył pięć kościstych palców zakończonych filcem, w których coś trzeszczało jak u kościotrupa. Przestraszył się i mimo że wiedział, co to takiego, wrzucił zdobycz do morza.

Nastała pełnia lata. Woda była taka gorąca, że wszystkie ryby zanurzyły się w głębinach w poszukiwaniu chłodu. Wtedy muzyka znowu ucichła. Ale nadeszły sierpniowe księżycowe noce i wczasowicze urządzili regaty. Inspektor też brał w nich udział.

Siedział wraz z żoną w białej łodzi, a synowie wiosłowali wolno tam i z powrotem.

Kiedy znaleźli się na czarnej tafli wody z lekka po wierzchu posrebrzonej i gdzieniegdzie zmatowiałej, usłyszeli pod sobą muzykę.

– Cha, cha – zaśmiał się inspektor – to ten stary grat, nasze pianino! Cha, cha!

Nagle jednak ucichł, gdyż zobaczył, że jego żona zwiesza nisko głowę niczym pelikany na obrazach. Zupełnie jakby chciała wgryźć się we własną pierś i ukryć swą twarz.

Stare pianino i jego długa historia obudziły w niej dawne wspomnienie pierwszej jadalni, którą urządzali, pierwszego dziecka, które uczyło się grać, długich wieczorów, przepełnionych smutkiem, dającym się przegonić jedynie burzliwym masom dźwięków, od których pierzchała nuda z mieszkania, wracał dobry humor, a meble nabierały właściwego blasku... Ale to już zupełnie inna historia!

Kiedy nadeszła jesień i rozszalał się pierwszy sztorm, fale przewalały się z tysięczną mocą przez grającą skrzynię. Można by pomyśleć, że była to pożegnalna muzyka. Nawet rybitwy i mewy zleciały się, by jej posłuchać. Tej nocy skrzynia wyruszyła na morze. I taki był koniec całej zabawy.

## ŚPIOCH

Kapelmistrz Kreuzberg był człowiekiem, który uwielbiał rano długo spać zarówno dlatego, że wieczorami grywał w orkiestrze, jak i dlatego, że zanim położył się do łóżka, wypijał więcej niż jedną szklaneczkę piwa. Myślał nieraz nawet, żeby wstać nieco wcześniej, ale nie widział w tym żadnego sensu. Gdyby chciał pójść do znajomego, ten by jeszcze spał; gdyby chciał wpłacić pieniądze, bank byłby zamknięty; chciałby kupić nuty w sklepie muzycznym, jeszcze nie otworzyli; potrzebowaliby pojechać tramwajem, jeszcze nie zaczęły jeździć; dorożki też nie można było tak rano znaleźć ani dostać tabaki Rapé. W ogóle niczego nie można było tak wcześnie załatwić. Dlatego wciąż sypiał długo w dzień, a zresztą mógł sobie robić, jak chciał, no nie?

Kochał słońce, kwiaty i dzieci, ale nie dane mu było mieszkać od słonecznej strony przez wzgląd na delikatne instrumenty, które nie zniosłyby atmosfery słonecznego pokoju. Tak więc pierwszego kwietnia wynajął mieszkanie od północy. Mógł to dokładnie sprawdzić, gdyż na łańcuszku kieszonkowego zegarka nosił kompas, a poza tym wiedział, gdzie wieczorami znajduje się Wielki Wóz.

Nadeszła wiosna. Zrobiło się gorąco i mieszkanie od północy było prawdziwym błogosławieństwem. Sypialnia leżała obok salonu i dzięki żaluzjom panowała tam zawsze głęboka ciemność. W salonie jednak nie było żaluzji, bo nie wydawały się potrzebne.

Zaczął się lato i świat się zazielenił. Kapelmistrz podjadł sobie i popił w Hasselbacken, dlatego spał długo i smacznie, tym bardziej że teatr był tego dnia zamknięty.

Tymczasem, gdy spał, w pokoju zrobiło się tak gorąco, że parę razy nawet się obudził albo wydawało mu się raczej, że się obudził. Raz myślał, że zapaliły się tapety, ale to chyba z powodu wypitego burgunda. Potem poczuł na twarzy jakiś żar, tym razem był to na pewno burgund, dlatego przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Wstał około wpół do dziesiątej, ubrał się i przeszedł do salonu, by się orzeźwić szklanką zimnego mleka, która jak zwykle rano stała w pogotowiu.

W salonie jednak nie było tego dnia wcale chłodno. Było gorąco, aż za gorąco. A zimne mleko nie było wcale zimne; było ciepłe, ohydnie ciepłe.

Kapelmistrz nie był kłótliwym człowiekiem, lecz lubił we wszystkim porządek, dlatego zadzwonił na starą Lovisę. Ponieważ pierwsze pięćdziesiąt razy zwykł swoje uwagi wypowiadać grzecznie, również i teraz, kiedy Lovisa wetknęła głowę w drzwi, zwrócił się do niej uprzejmym, aczkolwiek zdecydowanym tonem.

– Loviso – powiedział – podałaś mi ciepłe mleko.

– Nie, proszę pana – odpowiedziała Lovisa – było zimne, ale stało i widocznie się zagrzało.

– A więc musiałaś tu napalić, bo w pokoju jest gorąco!

Nie, Lovisa nie napaliła. Obrażona wycofała się do kuchni.

Kiedy Kapelmistrz rozejrzył się po salonie, od razu posmutniał, bo okazało się, że mleko to jeszcze nic. Miał on mianowicie w kąciку przy pianinie domowy ołtarzyk, który składał się z małego stolika, dwóch srebrnych lichtarzy, dużego zdjęcia młodej kobiety i stojącego przed nim wysokiego kieliszka do szampana ze złotą obwódką.

W tym kieliszku, jego ślubnym kieliszku – teraz Kapelmistrz był wdowcem – stała co dzień jedna czerwona róża, na pamiątkę i w ofierze dla tej, która była kiedyś słońcem jego życia. Stała zimą i latem. Zimą trzymała się nawet przez osiem dni, jeżeli oczywiście przyciął koniec łodygi i wsypał do wody odrobinę soli. Wczoraj po południu wsadził do wody świeżą

różę, a dziś była już zwiędnięta, pomarszczona, z opuszczoną na piersi głową. To był zły znak.

Kapelmistrz wiedział, że różę to delikatne stworzenia i zauważył, u jakich ludzi czują się dobrze, a u jakich źle. Pamiętał, że kiedy żyła jego żona, jej róża, stojąca na małym stoliku do szycia, nieraz zupełnie niespodziewanie więdła. Działo się tak wtedy, kiedy jego słonko chowało się za chmurę, która podczas głuchych grzmotów rozpływała się w kropkach. Różę pragnę spokoju i słów pełnych miłości, nie znoszą ostrego tonu. Kochają muzykę i dlatego Kapelmistrz grał nieraz dla nich, a one otwierały się i uśmiechały.

Lovisa była ostatnio w złym nastroju. Sprzątając chodziła i gderała sama do siebie.

W kuchni też akurat miała swoje złe dni, sos się warzył, a w jedzeniu czuło się smak niezadowolenia, który Kapelmistrz od razu rozpoznawał, gdyż sam był delikatnym instrumentem, czującym w głębi duszy to, czego inni nie czują.

Zaraz więc odgadł, że to Lovisa zabiła różę. Może gderała na biedulkę albo spojrzała na nią krzywo, albo prychnęła na nią ze złością i róża nie wytrzymała. Zadzwoił raz jeszcze na Lovisę, a kiedy wetknęła głowę, odezwał się nie tyle niegrzecznie, ile bardziej zdecydowanie niż poprzednio:

– Co zrobiłaś mojej róży, Loviso?

– Nic, proszę pana!

– Nic? Myślisz, że kwiat umiera ot tak sobie? Widzisz, że w kieliszku brakuje wody! To ty ją wylałaś!

Ponieważ Lovisa była niewinna, poszła do kuchni i zaczęła płakać, gdyż bardzo przykro jest być niesłusznie posądzonym.

Kapelmistrz Kreuzberg, który nie mógł Znieść cudzego płaczu, puścił rzecz w niepamięć i kupił po południu nową różę, bardzo świeżą, bez drucików w łodyżce ma się rozumieć, bo czegoś takiego jego żona nigdy by nie ścierpiała.

Potem położył się do łóżka i zasnął jak suszeł. Wydało mu się przez sen, że płoną tapety i że poduszka jest cała rozpalona, ale spał dalej.

Kiedy następnego dnia wkroczył do salonu, by przed domowym ołtarzem odprawić nabożeństwo, to – o, zgrozo! – pozbawiona płatków róża zwisała wzdłuż łodygi.

Chciał złapać za dzwonek, ale powstrzymał się, gdy zobaczył zdjęcie tej, którą ukochał z całej duszy, na wpół zwinięte, leżące u stóp wazonu.

Tego nie mogła zrobić Lovisa! – I w naiwności swej duszy pomyślał: Ona, która była dla mnie wszystkim, moim sumieniem i moją muzą, ona mnie nie lubi, jest na mnie zła. Co ja takiego zrobiłem?

I kiedy zadawał sobie w duchu to pytanie, znalazł oczywiście w sobie pewne niewielkie wady, bo zawsze można przecież coś znaleźć, więc postanowił się poprawić, ma się rozumieć stopniowo.

Znów włożył portret pod szkło i obsadził go w ramki. Różę przykrył szklanym kloszem.

– Mogło to coś pomóc, chociaż wydawało się wątpliwe.

Następnie udał się w ośmiodniową podróż. Wrócił do domu nocą i zaraz poszedł spać. Przebudził się tylko troszeczkę na jedno oko, bo wydało mu się, że płonie żyrandol.

Kiedy później wszedł do salonu, było tam wręcz gorąco, a pomieszczenie wyglądało okropnie. Zasłony wyblakły, narzuta na pianino także straciła barwę, okładki nut powyginały się, a nafta w lampie u sufitu parowała, tworząc pod plafonem, gdzie zwykły tańczyć muchy, niebezpieczną kropkę. Woda w karafce była gorąca.

Najsmutniejsze jednak ze wszystkiego było to, że jej zdjęcie także wyblakło, zżółkło niczym jesienna trawa! Wtedy zrobiło mu się przykro. A kiedy robiło mu się naprawdę przykro, siadał do pianina lub brał skrzypce...

Tym razem usiadł do pianina z niepewnym zamiarem zagrania sonaty E-moll, Griega oczywiście, jej sonaty, najwspanialszej i najlepszej według niej ze wszystkich, jakie

stworzono na tym świecie po D-moll Beethovena, nie dlatego, że E jest po D, tylko dlatego, że tak jest i już!

Pianino jednak odmawiało dziś posłuszeństwa. Brzmiało dysharmonijnie. Fałszowało tak, że nie wierzył własnym palcom ani oczom. Nie była to jednak ich wina. Instrument był zwyczajnie rozstrojony, okropnie rozstrojony, mimo że dopiero co wyszedł spod zręcznych dłoni stroiciela. Był jak zamieniony, jak zaczarowany!

Wtedy złapał za skrzypce; one przecież muszą brzmieć dobrze! Kiedy jednak próbował wydobyć z kwinty coraz wyższe dźwięki, kołek odmówił posłuszeństwa! Był przesuszony. A gdy kapelmistrz przestał się z nim patyczkować, struna pękła z trzaskiem i zwinęła się jak sucha skóra węgorza.

Istne czary!

Najsmutniejsze jednak ze wszystkiego było to, że wyblakło jej zdjęcie i dlatego Kapelmistrz przykrył ołtarz welonem. W ten sposób przykrył welonem wszystko co było w jego życiu najpiękniejsze. Stał się rozstrojony, przygnębiony i przestał wychodzić wieczorami z domu.

Trwało to aż do św. Jana. Noce stały się dłuższe od dni, ale zasłony nie przepuszczały światła i Kapelmistrz nie zauważył żadnej różnicy.

W końcu pewnej nocy, a była to właśnie noc świętojańska, obudził się, kiedy zegar w salonie wybijał trzynastą. To było straszne, zarówno dlatego, że to pechowa liczba, jak i dlatego, że mądry zegar nie wybija przecież trzynastej. Kapelmistrz nie mógł zasnąć, tylko leżał i nasłuchiwał. W salonie coś puknęło, a później trzasnęło, jakby rozsychały się meble. Zaraz potem coś zaszurało po podłodze i zegar zaczął bić. Bił i bił, pięćdziesiąt razy, i sto. To było straszne!

Nagle do sypialni wpadł snop światła i rzucił na tapety cień jakiejś figury, dziwnej figury przypominającej krzyż o załamanych ramionach. Padał od strony drzwi do salonu.

A więc w salonie musiało się palić światło. Kto je zapalił? Dzwoniły kieliszki, jakby siedzieli tam goście; kieliszki do szampana z rżniętego kryształu. Nikt jednak nie rozmawiał. Naraz dał się słyszeć jakiś szmer, zupełnie jak wtedy gdy zwija się żagiel, magluje bieliznę lub coś w tym rodzaju.

Kapelmistrz chciał to zobaczyć. Poleciwszy swą duszę Wszechmogącemu, wszedł do salonu.

Najpierw rzuciła mu się w oczy Lovisa w pelerynce do czesania włosów, znikająca za kuchennymi drzwiami. Zobaczył podniesione żaluzje; zobaczył stół, cały zastawiony kwiatami w wazonach. Ach! Stół zastawiony jak tego wieczoru po ślubie, kiedy przyszedł do domu ze swą oblubienicą.

Ale to nie wszystko: słońce, słońce stało z nim twarzą w twarz, jaśniało ponad niebieszczącą się zatoką i lasem w oddali. To słońce oświetliło salon i spletało te wszystkie małe figle. A był to dzień urodzin Kapelmistrza. Błogosławił więc słońce, które wstało tak wcześnie rano i zażartowało sobie ze śpiocha. Błogosławił również pamięć tej, którą nazywał słońcem swojego życia. Może to nie było zbyt oryginalne, ale nie potrafił wymyślić nic lepszego, zresztą chyba dobrze pasowało. Róża stała na domowym ołtarzu i wyglądała całkiem świeżo, tak świeżo jak ona, zanim zameczyła się pracą. Zameczyła się! Tak, nie należała do najsilniejszych, a życie wraz ze wszystkimi swoimi kuksańcami i kopniakami okazało się dla niej zbyt brutalne! Wciąż miał w pamięci, jak prasując czy piorąc opadała na kanapę ze słowami skargi: jestem taka zmęczona! – Biedulka, nie należała do tego świata, miała tu jedynie gościnny występ, a potem odjechała.

Potrzebowała słońca. Tak mówił doktor. Wtedy jednak nie mogli sobie pozwolić na słońce, gdyż słoneczne mieszkania kosztują drożej.

Za to teraz on miał słońce i sam się tego nie spodziewając stał w jego pełnym blasku, chociaż było już za późno. Noc świętojańska właśnie minęła i słońce miało pójść sobie na cały rok. A potem powrócić! Jakie to wszystko dziwne!



## PILOT MORSKI W TARAPATACH

Kuter pilotowy wykonał zwrot przed ostatnią boją świetlną. Zimowe słońce dawno już zaszło. Morze zaczynało się burzyć, nadciągał sztorm. Wtedy to chłopiec okrętowy na dziobie krzyknął: żagle z zawietrznej!

W oddali na morzu widać było bryg, który przebrasował żagle tak, by stanąć w dryfie. Postawił flagę wzywającą pilota i najwyraźniej chciał wejść do portu.

– Przygotować się! – zakomenderował starszy pilot przy sterze. – Trudno będzie do niego podejść na tak wysokiej fali. Ale słuchaj no, Wiktor, zbliżymy się od zawietrznej od strony rufy, żebyś mógł wskoczyć na takielunek i dostać się na pokład... Teraz zwrot! Gotowe!

Kiedy kuter zawrócił, podpłynął do leżącego w dryfie brygu.

– Dziwne, że nie wychodzi z dryfu! Widzicie jakieś światła na pokładzie?

– Nie! Ani żadnych świateł topowych! Cała naprzód! Wiktor przygotuj się!

Kuter szedł bardzo szybko. Wiktor stał przy relingu od nawietrznej i gdy nadeszła wysoka fala, chwycił za wanty brygu. W tym czasie kuter zawrócił i skierował się w stronę światła wejściowego do portu.

W połowie drogi do salingu Wiktor zatrzymał się, by złapać oddech, po czym zeskoczył na pokład. Znalazszy się na dole, natychmiast ruszył do steru, gdzie przecież było jego miejsce. Łatwo sobie wyobrazić, jak się przeraził, kiedy nie zastał tam nikogo. Zawołał „hop, hop”, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Na pewno siedzą gdzieś w środku i piją, pomyślał i podszedł do okienka kajuty. Nie, nie było tam nikogo! Zajrzał wobec tego do kambuza i kubryku, ale i tam nie było żywej duszy. Zrozumiał wtedy, że statek został opuszczony, prawdopodobnie przecieka i tonie.

Rozejrzał się za kutrem pilotowym, ale ten zniknął w ciemnościach.

Niemożliwe było żeglowanie w kierunku lądu, gdyż obsługa brasów, gordingów i bulin oraz jednoczesne stanie przy sterze wydawało się nie do pomyślenia.

Nic nie dało się zrobić, tylko pozwolić statkowi dryfować, mimo że dryfował na otwarte morze.

Nie było się z czego cieszyć, ale marynarz musi być przygotowany na wszystko. Jakiś żeglarz powinien przecież przepływać w pobliżu. Trzeba tylko zdobyć światło, by móc dawać sygnały. Poszedł więc do kambuza, by poszukać zapalek i latarni. Zdziwiło go, że mimo wysokiej fali nie zauważył na statku najmniejszego poruszenia. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy przechodząc koło grotmasztu, zobaczył, że idzie po parkiecie, na którym leży długi, biało-niebieski chodnik w małą kratkę. Szedł po nim i szedł, nie widząc ani końca chodnika, ani kambuza. Było to oczywiście straszne, ale jednocześnie trochę zabawne, bo zupełnie nowe.

Chodnik nie kończył się nawet tam, gdzie marynarz się zatrzymał, a mianowicie przed wejściem do pasażu z oświetlonymi sklepikami. Na prawo stała waga i jakiś automat. Wiele się nie namyślając Wiktor wszedł na wagę i wrzucił monetę. Wiedział, że waży osiemdziesiąt kilogramów i aż się roześmiał, kiedy wskazówka pokazała tylko osiem. Najwyraźniej waga jest zepsuta albo znalazłem się na innej planecie, dziesięć razy większej lub mniejszej niż Ziemia, pomyślał, bo chodził kiedyś do szkoły nawigacji i uczył się astronomii.

Teraz postanowił zobaczyć, co kryje w sobie automat.

Kiedy wrzucił monetę, otworzyło się okienko i prosto w ręce wpadł mu list. Był w białej kopercie zalakowanej na czerwono, pieczęci jednak marynarz nie umiał odczytać. Nie miało

to zresztą większego znaczenia, skoro i tak nie wiedział, od kogo był ten list. Rozerwał kopertę i zaczął czytać... najpierw podpis, jak to się zwykle robi. Było tam napisane... no, ale może o tym nieco później. Wystarczy powiedzieć, że przeczytał list trzy razy i włożył go do kieszeni na piersi z bardzo, ale to bardzo zamyśloną miną!

Następnie poszedł dalej pasażem, trzymając się teraz specjalnie środka chodnika. Były tam wszystkie możliwe rodzaje sklepów, ale ani jednego człowieka ni z jednej, ni z drugiej strony ludy. Po chwili marszu zatrzymał się przed dużą witryną sklepową z wystawą ślimaków. Ponieważ drzwi do sklepu stały otworem, wszedł do środka. Od sufitu do podłogi pełno tam było półek ze ślimakami zebranych z przeróżnych mórz świata. Mimo że marynarz nie zastał w sklepie nikogo, zobaczył wiszące w powietrzu kółko z dymu tytoniowego, jakby dopiero co wydmuchnięte przez kogoś, kto się zabawiał puszczeniem kółek. Wiktor znał się na żartach, wsadził więc palec w kółko i powiedział:

– Hej tam! Zaręczyłem się z panną Tabaką!

W tym samym momencie usłyszał jakiś dziwny dźwięk, coś jakby zegar, mimo że nie było tam wcale żadnego zegara. Zobaczył za to pęk dzwoniących kluczy, z których jeden wyglądał tak, jakby wetknięto go przed chwilą w dziurkę szuflady. Inne bujały się w tę i z powrotem regularnym ruchem wahadła. Potem nastąpiła cisza. A kiedy było już zupełnie cichutko, usłyszał delikatny szum, jakby szum wiatru grającego na linach albo pary przeciskającej się przez wąską rurkę. To szumiały muszle, a ponieważ były różnych rozmiarów, wydawały dźwięki różnej wysokości. Brzmiało to niczym cała orkiestra szumów. Wiktor, który był w czwartek urodzony i rozumiał mowę zwierząt, nastawił swoją małżowinę uszną i po chwili wiedział już, o czym szumią:

– Mam najpiękniejsze imię – mówiła jedna – nazywam się *Strombus pespelicanus*.

– A ja jestem najpiękniejsza! – mówiła druga, purpurowa muszla, która nazywa się *Murex* i jakoś tam jeszcze.

– Ja śpiewam najpiękniej! – mówiła porcelanka, wyglądająca jak pantera.

– Cicho, cicho, cicho! – powiedziała muszla winniczka – mnie kupują najczęściej, gdyż leżę na grządkach z kwiatami podczas wakacji. Uważają mnie za nieciekawą, ale i tak muszą mnie brać. Zimą natomiast wyleguję się w drewni w garnku z kapustą.

Okropne towarzystwo, które się tylko przechwala, pomyślał Wiktor i aby się rozerwać, sięgnął po otwartą książkę, leżącą na ladzie. Ponieważ miał bystre oko, od razu zauważył, że była otwarta na stronie 240 i że rozdział 51 zaczyna się po lewej stronie. U góry rozdziału przytoczony był jako motto jeden wers z Goleridge'a, a jego treść poraziła go niczym piorun. Z płonącymi policzkami i zapartym tchem czytał dalej... no, ale o tym opowiemy trochę później. Nie było tam jednak nic o ślimakach, tyle przynajmniej na razie możemy zdradzić.

Tymczasem spodobało mu się to miejsce, więc usiadł sobie wygodnie, z dala jednak od kasy, gdyż jest to niebezpieczne sąsiedztwo. Zaczął rozmyślać o tych wszystkich dziwacznych zwierzętach, które, jak on, są na morzu. Nie jest im gorąco na dnie, a jednak się pocą, a kiedy się pocą wapnem, zaraz mają nowy sweterek. I skręcają się jak robaki, niektóre na prawo, inne na lewo. Muszą się jednak wykręcać, bo wszystkie nie mogą być przecież takie same.

Nagle z zalepcza spoza zielonych zasłon dał się słyszeć czyjś głos:

– Tyle to już wiemy, a oto czego nie wiemy: że muszla małżowiny usznej to *Helix*, a kosteczki błony bębenkowej przypominają zwierzę zwane *Limnaeus stagnalis*, zgodnie z tym, co jest w książce.

Wiktor, który natychmiast zorientował się, że ma do czynienia z kimś, kto umie czytać w cudzych myślach, odpowiedział również spoza zasłony grzecznie, ale ostro, nie okazując ani krzty zdziwienia:

– To także wiemy, ale dlaczego mamy *Helix* w uchu, na ten temat książka wie równie mało, co sprzedawca ślimaków...

- Nie jestem żadnym sprzedawcą ślimaków! – ryknął niewidzialny z głębi pokoju.
- Kim wobec tego jesteś? – ryknął w odpowiedzi Wiktor.
- Jestem... trollem!

W tej samej chwili rozchyliły się zasłony i ukazała się głowa tak obrzydliwa, że na jej widok każdy inny wziąłby nogi za pas. Ale Wiktor wiedział, jak należy postępować z trollami, dlatego popatrzył tylko na rozpaloną do czerwoności głowę w kształcie fajki, gdyż właśnie tak wyglądał troll, który na stojąco wdmuchiwał kółka w szparę między zasłonami. Kiedy jedno z kółek zbliżyło się, Wiktor nadział je na palec i puścił z powrotem.

- No, umiesz puszczać kółka – powiedział szyderczo troll.
- Tak jakby – odpowiedział Wiktor.
- I w dodatku się nie boisz!
- Marynarz nie może się bać, bo inaczej nie spodoba się żadnej dziewczynie.
- Słuchaj no ty, który się nie boisz, przejdź no się trochę dalej tym pasażem, to zobaczymy, jaki z ciebie bohater.

Prawdę mówiąc Wiktor miał już dość towarzystwa muszli, skorzystał więc z okazji, by się oddalić w sposób, który nie będzie wyglądał na ucieczkę. Wyszedł ze sklepu tyłem, gdyż wiedział, że nigdy nie należy odwracać się plecami. Są one o wiele bardziej wrażliwe niż piersi.

I znów rozpoczął wędrówkę wzdłuż niebiesko-białego chodnika. Pasaż nie biegł prosto, lecz wił się bez końca w różne strony. Przez cały czas pojawiały się nowe sklepy, ale wciąż bez kupujących. Nie było też nigdzie właścicieli. Lecz Wiktor, który miał duże doświadczenie, wiedział, że kryją się na zapleczu.

Kiedy doszedł do perfumerii, pachnącej niczym wszystkie kwiaty łąk i lasów, pomyślał: wejdę i kupię buteleczkę wody kolońskiej dla narzeczonej. Słowo się rzekło! Sklepik był bardzo podobny do tego z muszlami, ale pachniał tak mocno, że marynarza rozboleła głowa i musiał usiąść na krześle. Szczególnie dawał się we znaki zapach gorzkich migdałów, który powodował szum w uszach, a w ustach pozostawiał przyjemny smak wiśniówki. Wiktor, który na wszystko potrafił znaleźć radę, wyjął mosiężną szkatułkę z lusterkiem i zażył szczyptę tabaki, co rozjaśniało rozum i usuwało ból głowy. Potem zastukał w ladę i zawołał:

- Halo, jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi. Pomyślał więc: wejdę dalej i sam się obsłużę. Położył prawą rękę na ladzie, zamachnął się i jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie. Rozsunął zasłony i zajrzał na zaplecze. Ujrzał tam widok, który go całkowicie oszołomił. Na długim stole przykrytym perskim obrusem stało drzewko pomarańczowe obsypane kwiatami i owocami, a jego błyszczące liście przypominały liście kamelii. Kielichy z rżniętego kryształu poustawiane w rzędach, a w nich wszystkie pięknie pachnące kwiaty świata: od jaśminu, tuberozy, fiołka, konwalii i róży aż po lawendę. Po jednej stronie stołu zobaczył ukryte do połowy w pomarańczy dwie nieduże białe ręce, które z podwiniętymi rękawami coś robiły przy małym srebrnym destylatorze. Nie widział jednak twarzy damy, do której należały, a i dama nie widziała jego. Kiedy jednak zauważył jej żółto-zielone ubranie, zrozumiał, że to rusałka, gdyż żółty i zielony to kolory larwy motyla zwanego *Sphinx ligustri*, takiej, która umie zmieniać wygląd. Jej tył wygląda jak przednia część ciała uzbrojona w róg, niczym u jednorogów. Tym fałszywym obliczem odstrasza ona wrogów, podczas gdy ta część ciała, która jest prawdziwym przodem i służy do jedzenia, wygląda jak tył.

Zanosi się na awanturę, pomyślał Wiktor, ale zacznij pierwsza! Kto się chce czegoś dowiedzieć, sam musi cicho siedzieć.

- Czy to pan szuka letniska? – zapytała dama, zbliżając się do niego.

– Tak, to ja – odrzekł Wiktor po to, żeby tylko coś powiedzieć, gdyż nigdy nie przyszłoby mu do głowy szukać letniska zimą.

Dama zmieszała się. Była warta grzechu i rzucała na marynarza uwodzące spojrzenie.

– Nie próbuj mnie oczarować, bo jestem już zaręczony z porządną dziewczyną! – powiedział i popatrzył na nią przez szparę pomiędzy serdecznym i środkowym palcem, jak to czynią wiedźmy, kiedy chcą, by wszystko przebiegało po ich myśli.

Dama była młoda i piękna do połowy, ale od połowy w dół było w niej coś starego, zupełnie jakby ciało miała zlepione z dwóch części.

– Chciałbym obejrzeć to miejsce – powiedział marynarz.

– Proszę bardzo – odrzekła i otworzyła tylne drzwi.

Wyszli na zewnątrz i znaleźli się w dębowym lesie.

– Przejdziemy tylko przez las i już będziemy na miejscu! – powiedziała puszczając marynarza przodem, by oczywiście nie musieć odwracać się do niego plecami.

– Wygląda na to, że to ścieżka byka – powiedział Wiktor, który był bardzo spostrzegawczy.

– Chyba nie boisz się byka? – Spytała dama.

– Zobaczymy, co to za jeden – skwitował marynarz.

Szli po skałkach, po korzeniach drzew, po bagnach i karczowiskach, porębach i mielerzyskach. Wiktor musiał od czasu do czasu odwracać się i patrzeć, czy rusalka idzie za nim, gdyż nie słyszał jej kroków. Zresztą nawet jak się odwrócił i miał ją przed sobą, musiał i tak szukać jej oczami, gdyż żółto-zielone ubranie czyniło ją prawie niewidoczną.

W końcu przybyli na polanę, czy też raczej na karczowisko. Kiedy Wiktor znalazł się na środku zielonego placu, zobaczył przed sobą byka, który stał i jakby specjalnie czekał na niego. Był czarny, na czole miał białą gwiazdę, a w kącikach oczu krew.

Ponieważ ucieczka była niemożliwa, pozostawał jedynie atak i obrona. Wiktor rzucił wzrokiem na ziemię i, wyobraźcie sobie, oto leżała tam dopiero co wyrwana z płotu, zaostzona na końcu sztacheta. Podniósł ją i przybrał odpowiednią postawę.

– Ty albo ja! – zawołał. – Raz, dwa, trzy!

Teraz dopiero zaczął się taniec. Byk cofnął się najpierw niczym parostatek, z nozdrzy buchnęła mu para, zakręcił ogonem jak śmigłem i na całego ruszył do przodu.

W powietrzu rozległ się świst i trzask na podobieństwo wystrzału, kiedy drąg walnął byka między oczy. Wiktor odskoczył na bok, ale byk wciąż trzymał kurs. Nagle sceneria uległa zmianie. Wiktor zobaczył ku swemu przerażeniu, że bestia kieruje się na skraj lasu, skąd jego narzeczona w jasnej sukience wychodzi mu na spotkanie.

– Na drzewo, Anno! Byk! – wykrzyknął z całych sił.

I popędził za potworem, uderzając go po tylnych nogach w najcieńszym miejscu, by złamać piszczel, jeżeli w ogóle było to możliwe. Nadludzkiem wysiłkiem udało mu się powalić kolosa na ziemię. Anna została uratowana i marynarz trzymał ją w ramionach.

– Dokąd teraz pójdziemy? – zapytał. – Chyba do domu?

Pytanie o to, skąd się tu wzięła, nie przyszło mu nawet do głowy z powodu, o którym dowiemy się nieco później.

Szli ręką w rękę ścieżką przed siebie, szczęśliwi z nieoczekiwanego spotkania. Jednak po chwili Wiktor zatrzymał się nagle i powiedział:

– Poczekaj tu chwilę, muszę wrócić i zobaczyć, co się stało z bykiem, bo trochę mi go żal.

Anna zmieniła się na twarzy, kąciki jej oczu nabiegły krwią. Z wściekłą miną powiedziała: „Idź, ja zaczekam!”

Marynarz obrzucił ją smutnym spojrzeniem, ponieważ wiedział, że powiedziała nieprawdę. Szedł więc z nią dalej. Jej chód wydał mu się dziwny i zaczął mu marznąć lewy bok.

Kiedy przeszli jeszcze kawałek, Wiktor znów się zatrzymał.

– Podaj mi rękę – poprosił – nie tę, lewą.

Wtedy zobaczył, że nie ma na niej pierścionka.

– Gdzie pierścionek? – zapytał.

– Zgubiłam – odpowiedziała.

– Jesteś moją Anną i nie jesteś. Czuję w tobie coś obcego.

W tej samej chwili spojrzała na niego kosem i zauważył, że nie było to ludzkie spojrzenie, lecz krwawe spojrzenie byka. Wtedy zrozumiał wszystko.

– Idź precz, wiedźmo! – powiedział i plunął jej w twarz.

Trzeba to było widzieć! Fałszywa Anna nagle się odmieniła, zrobiła się żółto-zielona na twarzy i aż kipiała ze złości. Zaraz potem dała drapaką pod postacią czarnego królika, który przeskoczył jagodziny i zniknął w oddali.

Wiktor został sam w zaczarowanym lesie, ale specjalnie się tym nie przejął. Pomyślał sobie tak: muszę iść dalej, będę odmawiał „Ojcze nasz”, bo czeka mnie długa droga.

Szedł i szedł, aż trafił na chatkę. Zapukał. Otworzyła mu starucha. Zapytał, czy pozwoli mu przenocować. Odpowiedziała, że tak, ale może mu zaproponować jedynie izbę na strychu, która jest taka sobie.

– Niech będzie, jaka jest, muszę się przespać.

Kiedy się dogadali, wszedł ze starą na strych, a potem do izby. Wisiało tam nad łóżkiem duże gniazdo os, za co gospodyni bardzo Wiktora przepraszała.

– Nic nie szkodzi. Osy są jak ludzie: miłe, dopóki się ich nie rozzłości. Może ma pani także węże?

– Ależ oczywiście, jest tu parę sztuk.

– Nic nie szkodzi. Węże lubią ciepłe łóżko. Pośpimy sobie razem! Czy to żmije, czy zaskrońce? Nie jestem wybredny, jeśli chodzi o towarzystwo, ale wolałbym zaskrońce!

Starucha stała nie mówiąc ni słowa, kiedy marynarz słał sobie łóżko z wyraźnym zamiarem przenocowania.

W tej samej chwili za zamkniętym oknem dało się słyszeć nerwowe bzykanie i ukazał się wielki szerszeń, który usiłował dostać się do środka.

– Wpuśćmy tego biedaka! – powiedział marynarz i zaczął otwierać okno.

– Nie! Tylko nie to! Zabij go! – krzyczała stara.

– Dlaczego? Może ma tu dzieci, które są głodne i będę musiał wysłuchiwać ich wrzasku? Nie, piękne dzięki!... Chodź tu, maleńki.

– On gryzie! – ciągnęła stara.

– Ależ skąd! Gryzie tylko złych ludzi...

Otworzył okno. Do środka wtargnął szerszeń ogromny niczym gołębnie jajo i bucząc jak struna basowa poleciał prosto do gniazda. Zapanowała cisza.

Stara wyszła, a marynarz wgramolił się na łóżko.

Kiedy następnego ranka zszedł na dół, starej nie było. Na jedynym krześle siedział czarny kot i pomrukiwał. Koty są skazane na mruczenie, gdyż lenistwo nie pozwala im robić nic innego, a czymś przecież muszą się zająć.

– Wstawaj, kocie – powiedział marynarz – teraz ja chcę usiąść.

Wziął kota i wsadził go do pieca. Ale nie był to zwyczajny kot. Z grzbietu posypały mu się iskry, od których zapaliły się szczapy.

– Jeśli umiesz rozpalić ogień, to umiesz też pewnie zagotować kawę – powiedział marynarz.

Kot jednak ma już taką naturę, że nie chce nigdy zrobić tego, czego chce kto inny, dlatego zaczął parskać i pluć, aż zgasił ogień.

W tej samej chwili marynarz usłyszał, że ktoś opiera szpadel o ścianę chaty. Kiedy wyjrzał, zobaczył staruchę stojącą w ogrodzie nad świeżo wykopanym dołem.

– A więc to tak, babo! Kopiesz dla mnie grób! – powiedział.

Właśnie wtedy stara weszła do środka. Kiedy zobaczyła, że Wiktor jest cały i zdrowy, nie posiadała się ze zdziwienia. Przyznała, że nikt jeszcze nie wyszedł żywy z tego strychu i dlatego zawczasu kopała dla niego grób. A ponieważ miała trochę słaby wzrok, wydało jej się, że marynarz ma na szyi jakiś dziwny szal.

– Ciekawe, czy widział kto taki szalik – powiedział Wiktor i pogłaskał ręką miejsce poniżej podbródka.

Siedział tam wąż, zawiązany w wytworny węzeł, z dwiema żółtymi plamkami na końcach. Były to jego uszy, oczy zaś błyszczały jak drogocenne klejnoty.

– No, pokaż cioci ząbki – powiedział marynarz.

Podrapał węża w głowę, a wtedy w paszczy gada ukazały się dwa kły ostre jak szpileczki.

Zaimponowało to starej.

– Teraz widzę, że dostałeś mój list i że właściwie go odczytałeś. Prawdziwy z ciebie zuch!

– Ach, więc to był list od ciebie – zdziwił się marynarz, wyjmując kopertę z kieszeni na piersi. – Kiedy wrócę do domu, wsadzę go pod szkło i oprawię w ramki.

A czy wiecie, co było w tym liście? Otóż było tam napisane tylko tyle: *Mann muss sich nie verbluffen lassen*, co można przetłumaczyć: „Śmiałym szczęście sprzyja.”

Kiedy Anna-Maria usłyszała, że mama kończy opowiadać tę historię, zapytała:

– No tak, ale jak to się stało, że marynarz przedostał się ze statku do pasażu, a potem nie musiał wracać, a może to wszystko tylko mu się śniło?

– O tym usłyszysz innym razem, moja ty ciekawska – odpowiedziała mama.

– Ale tam w książce były jeszcze jakieś słowa...

– Jakie znowu słowa? A, tamte w sklepie z muszelkami... Zupełnie o nich zapomniałam... – odrzekła mama. – A poza tym nie powinno się pytać o takie rzeczy. To tylko bajka, kochanie!

## FOTOGRAFIA I FILOZOFIA

Żył sobie kiedyś pewien fotograf. Mnóstwo fotografował: z profilu i enface, do kolan i całe postaci. Potrafił też wywoływać i utrwać, sepiować i robić odbitki. Prawdziwy zuch! Nigdy jednak nie był z siebie zadowolony, gdyż uważał się za filozofa, wielkiego filozofa i odkrywcę. Wydumał mianowicie, że świat jest odwrócony. Można to było zresztą zobaczyć na kliszy, kiedy leżała w wywoływaczu. To, co znajdowało się u ludzi po prawej stronie, tu było po lewej; to, co było ciemne, stawało się jasne, cień zmieniał się w światło, sine robiło się białe, a srebrne guziki czerniały niczym żelazne. Wszystko na odwrót.

Miał on wspólnika, który był zwykłym człowiekiem, pełnym przywar. Palił na przykład tytoń przez cały dzień, nigdy nie mógł się nauczyć, żeby zamykać za sobą drzwi, wkładał do ust nóż zamiast widelca, wchodził do pokoju w kapeluszu na głowie, czyścił paznokcie na samym środku pracowni, a wieczorami lubił wypić trzy szklaneczki piwa. Był pełen wad.

Filozof, który był oczywiście bez wad, czuł niechęć do swego niedoskonałego kolegi. Chciał się nawet z nim rozstać, ale nie mógł tego zrobić, gdyż interesy trzymały ich razem; i dlatego właśnie uczucie niechęci ze strony filozofa zaczęło się zmieniać w ślepią nienawiść. To było straszne!

Nadeszła wiosna, należało pomyśleć o wynajęciu letniska. Wspólnik został wysłany, żeby poszukać czegoś odpowiedniego. I znalazł. Pewnego sobotniego popołudnia wybrali się tam razem parostatkiem. Filozof siedział całą drogę na górnym pokładzie i pił poncz. Był bardzo gruby i cierpiał na różne dolegliwości, głównie na wątrobę, z nogami też miał kłopot, chyba reumatyzm czy coś takiego. W końcu przybyli na miejsce i zeszli z pomostu na ląd.

– Czy to tu? – spytał filozof.

– Trzeba przejść jeszcze kawałek – odpowiedział wspólnik.

Szli ścieżką, na której było pełno wystających korzeni drzew; droga urwała się nagle tuż przed jakimś płotem. Musieli przez niego przejść. Po drugiej stronie ścieżka stała się kamienista. Filozof narzekał na nogi, ale wnet zapomniał o bólu, bo stanęli przed kolejnym płotem, który znów trzeba było przesadzić. Dalej droga ginęła jakby sama z siebie i musieli iść po głazach, przedzierając się przez krzaki i jagodziny.

Przed trzecim płotem stał byk, który pogonił filozofa aż do czwartego ogrodzenia, tak że ten spociał się jak w łaźni, która otwiera wszystkie pory skóry. Za szóstym płotem widać było nareszcie chatę. Filozof wszedł do środka, po czym wyszedł na ganek.

– Po co tu aż tyle drzew? – powiedział. – Zasłaniają tylko widok.

– Osłaniają za to dom przed wiatrem od morza! – odpowiedział wspólnik.

– Wygląda to jak cmentarz; mieszkamy właściwie w środku świerkowego lasu.

– To zdrowo – odrzekł wspólnik.

Poszli się wykapać. Ale nie znaleźli odpowiedniego, zdaniem filozofa, miejsca do kąpieli. Dno było pełne mułu i kamieni.

Po kąpieli filozof chciał się napić wody ze studni. Była to rdzawobrazowa ciecz o cierpkim smaku. Nic nie warta. Zresztą wszystko było do niczego. Mięsa też nie można było kupić, tylko ryby.

Filozof zachmurzył się i usadowił pod tykwą, żeby ponarzekać. Zostać jednak musiał; wspólnik zaś wrócił do miasta, by doglądać interesu podczas wypoczynku przyjaciela.

Minęło sześć tygodni i wspólnik wrócił po swego filozofa.

Na pomoście stał smukły młodzieniec, z czerwonymi policzkami i ogorzałą szyją. Był to filozof, odmłodzony i zadowolony z życia.

Po drodze przeskoczył przez wszystkie sześć płotów, a byka sam popędził przed sobą.

Kiedy doszli do ganku, wspólnik powiedział:

– Wyglądasz na zdrowego, jak ci tu było?

– Och – odpowiedział filozof – wspaniale! Dzięki płotom zrzuciłem nadmiar tłuszczu; kamienie masowały mi stopy; muł dostarczał kąpeli błotnych przeciwko reumatyzmowi; skromne jedzenie wyleczyło mi wątrobę, las jodłowy – płuca, a ta rdzawa woda, czy możesz sobie wyobrazić, zawiera żelazo, które było mi bardzo potrzebne.

– Tak – powiedział wspólnik – ty, filozof, powinieneś wiedzieć, że z negatywu otrzymuje się pozytyw, na którym cień zmienia się w światło. Gdybyś zechciał i mnie zrobić takie zdjęcie, by zobaczyć, jakich wad mi brakuje, to zapewne nie tak bardzo byś mnie nienawidził. Pomyśl tylko: nie piję i dzięki temu prowadzę nasz interes; nie kradnę; nigdy źle o tobie nie mówię; nigdy nie narzekam; nie mówię, że białe jest czarne; nigdy nie jestem nieuprzejmy dla klientów; wstaję bardzo rano; czyszczę paznokcie, żeby nie zabrudzić wywoływacza; noszę kapelusz, by włosy nie spadały mi na klisze; palę, żeby oczyścić powietrze z trujących oparów odczynników; nie domykam drzwi, żeby nie robić zbytniego hałasu; pijam wieczorami piwo, żeby nie popaść w alkoholizm i nie pić whisky, a do ust wkładam nóż zamiast widelca, żeby nie ukłuć się w podniebienie.

– Jesteś naprawdę wielkim filozofem – powiedział fotograf. – Zostańmy więc przyjaciółmi, a zajdziemy daleko.



## URWANA KARTA

Ostatnie pudło z rzeczami zostało wyniesione. Lokator, młody mężczyzna z żalobą na kapeluszu, jeszcze raz przeszedł się po mieszkaniu, żeby zobaczyć, czy niczego nie zapomniał. Nie, nie zapomniał niczego, absolutnie niczego. Wyszedł do przedpokoju z mocnym postanowieniem, że nie będzie już więcej myślał o tym, co przeżył w tym mieszkaniu. Ale oto obok telefonu zobaczył urwaną kartkę, przytwierdzoną do ściany pinezką. Były na niej notatki zrobione kilkoma charakterami pisma; jedne wyraźne, zapisane czarnym atramentem, inne nagryzmołone ołówkiem lub czerwoną kredką. Cała piękna historia, która rozegrała się w ciągu dwóch krótkich lat, wszystko, o czym chciał zapomnieć, kawałek ludzkiego życia na urwanej kartce.

Zdjął papier. Był żółtawy i błyszczący. Położył na gzymsie pieca kaflowego w salonie, pochylił się nad nim i zaczął czytać. Najpierw jej imię: Alice, najpiękniejsze, jakie znał, gdyż było to imię jego narzeczonej. I numer 151, 1, jak numer psalmu. Poniżej: Bank. To jego praca, święta praca, która dała mu chleb, dom i żonę, podstawa egzystencji. Ale napis został przekreślony! Bank zbankrutował. Mimo to młody człowiek zdołał się uratować. Po krótkim okresie wielkiego niepokoju zatrudnił się w innym banku.

Następnie: Kwaciarnia i Biuro Wynajmu Dorożek. To zaręczyny. Kieszenie miał jeszcze wtedy pełne pieniędzy.

Poniżej: Sklep Meblowy, Tapicer. Urządzanie domu. Biuro przeprowadzek: wprowadzają się.

Kasa biletowa w Operze: 50-50. Są młodym małżeństwem i chodzą w niedziele do Opery. Ich najlepsze chwile, kiedy siedząc w milczeniu, spotykają się z pięknem i harmonią baśniowego świata po drugiej stronie kurtyny.

Dalej nazwisko jakiegoś człowieka, przekreślone. To ich przyjaciel, który osiągnął w życiu sukces. Nie był jednak w stanie udźwignąć ciężaru szczęścia i stoczył się na dno. Musiał potem wyjechać gdzieś bardzo daleko. Jakie to wszystko marne!

Tutaj w życiu małżonków pojawia się coś nowego. Niewieścim charakterem jest napisane: „Babka”. Ale jaka babka? – A, ta, w obszernym okryciu, o miłej i przyjaznej twarzy, która zjawia się po cichu i omijając salon, idzie korytarzem wprost do sypialni.

Pod jej imieniem: doktor L.

Niżej po raz pierwszy pojawia się ktoś z krewnych – „mama”. To teściowa, która dotąd dyskretnie trzymała się z daleka, by nie przeszkadzać nowożeńcom, ale wezwana w potrzebie, pośpiesza do nich z radością.

Dalej zaczyna się niebiesko-czerwona bazgranina. Biuro Zatrudnienia: odchodzi służąca i trzeba zatrudnić nową. Apteka. Hm! Niewesoło! Mleczarnia, w której odbiera się mleko nie skażone gruzlicą.

Sklep z przyprawami, rzeźnik itd. Dom jest zarządzany przez telefon; zabrakło gospodyni na właściwym miejscu. Nie, nie zabrakło! Leży chora w łóżku.

Tego, co jest napisane dalej, młody człowiek nie jest w stanie przeczytać, gdyż zaczyna mu się robić ciemno przed oczami, jak tonącemu w morzu, kiedy patrzy przez słoną wodę. A jest tam napisane tak: Zakład Pogrzebowy.

Kolejne zdanie mówi już samo za siebie:

Jedna duża i jedna mała, oczywiście trumna. A w nawiasie: z prochu powstałeś. I to już wszystko! Skończyło się na prochu i tak to już jest. Mężczyzna wziął poźółkły papier,

pocałował go i wsadził do kieszeni na piersi. W ciągu dwóch minut przeżył na nowo dwa lata swego życia.

Kiedy wychodził, nie był załamany. Przeciwnie, głowę trzymał podniesioną wysoko do góry jak człowiek szczęśliwy i dumny, który czuje, że przeżył coś najpiękniejszego. Ilu jest takich nieszczęśników, którym nigdy nie było to dane?

## TRIUMFATOR I BŁAZEN

Było to owego wiosennego wieczoru 1880 roku, którego my, Szwedzi, nigdy nie zapomnimy, bo święcimy go co rok, owego pamiętnego wieczoru na cyplu Blockhusudden. Stała tam sobie wówczas para starszków, zwykłych wieśniaków, prostych ludzi, którzy razem przewędrowali większość swego nielekkiego życia. Wpatrywali się w tor wodny, ciągnący się w ciemnościach pod łzawymi gwiazdami, i obserwowali, jak na moście we mgle jakiś człowiek zmagą się z czymś bliżej nieokreślonym.

Stali długo, bardzo długo, a to przyglądając się ciemnemu torowi, a to obserwując iluminacje nad miastem.

W końcu ujrzeli światło na samym końcu zatoki, dwa światła, wiele światła. Uścisnęli sobie w milczeniu ręce i dziękowali Bogu, że zwrócił im syna, który miał zaszczyt uczestniczyć w bohaterskiej wyprawie pod żaglami dookoła Azji i którego przez cały rok uważali za umarłego.

Nie był on oczywiście najważniejszym członkiem wyprawy, brał jednak w niej udział, a teraz będzie na uczcie u króla, zostanie odznaczony orderem z gwiazdą, a także otrzyma wyróżnienie, z którego będzie i chleb, bo parlament uchwalił wypłacanie nagród państwowych w gotówce.

Światła zbliżały się i stawały coraz większe. Wielki ciemny żaglowiec holowany był przez mały statek parowy. Kolos wyglądał z bliska tak zwyczajnie, jak zwyczajnie może wyglądać tylko coś naprawdę wielkiego.

Mężczyzna na moście razem ze swoim osobliwym sprzętem stał się lepiej widoczny. Próbował teraz zapalką rozpalić ogień.

– Co to może być? – zapytał stary. – Wygląda jak bardzo, bardzo duża świeca.

Podeszli bliżej, by lepiej się przyjrzeć.

– Wygląda raczej jak rusztowanie do suszenia sieci – powiedziała starszka, która pochodziła z wybrzeża.

Trzask! Bzyk! Sssyk..! – powiedziało to coś i starszkwowie znaleźli się w samym środku ognia i płomieni.

W górę aż do gwiazd strzelały teraz całe snopy ognia, które wysoko zapalały nowe gwiazdy. Gdyby jakiś astronom zobaczył to przez swoją lunetę w obserwatorium, mógłby pomyśleć, że nowe ciała niebieskie pojawiły się na nieboskłonie.

Naprawdę, zarówno na ziemi, jak i na niebie, wraz z rokiem 1880 w nowych umysłach zrodziły się nowe myśli, nowe ośnienia i wynalazki. Z nową pszenicą pojawiły się jednak i nowe chwasty, ale tak powinno być, bo chwasty dostarczają wilgoci i cienia, a pod koniec żniw oddzieli się je przecież od zboża. Niech rosną razem, bo należą do rzeczy, jak plewy do ziarna.

Były to w każdym razie fajerwerki, a kiedy dym się rozwiął – bo dym należy do ognia – cały przepych gdzieś się ulotnił.

– Naprawdę przyjemnie, że byliśmy w mieście dziś wieczorem! – powiedziała starszka.

– Wcale nie! – odrzekł stary. – Nic, tylko się wyszargaliśmy. Prości ludzie, którzy pchają się do przodu, łatwo wychodzą na pyszałków. Z chłopakiem spotkamy się jutro, kiedy będzie bez narzeczonej. Najwyraźniej jest mu bliższa niż my.

Mądrze to stary powiedział. Starzy ludzie powinni być mądrzy, bo któż inny miałby być mądry jak nie oni?

I poszli z powrotem do miasta!

A teraz zobaczymy, co się działo z ich synem!... Był on hydrografem na statku. Mierzył głębokość morza, wzniesienia lądu i pozorne ruchy nieba. Wystarczyło, że spojrzął na słońce, i już umiał powiedzieć, która godzina. Wiedział też na podstawie gwiazd, jak daleką drogę przebyli. Był potężny i wierzył, że trzyma rękę na sterze zarówno nieba, jak i ziemi, że odmierza czas i reguluje zegar wieczności. A teraz, kiedy został gościem na dworze króla i wpięto mu gwiazdę w klapę marynarki, poczuł się lepszy od innych. Nie był oczywiście zarozumiały w stosunku do swoich ubogich rodziców i narzeczonej, ale oni właśnie tak sobie myśleli, mimo że nic na ten temat nie mówili. Może zrobił się tylko trochę bardziej oficjalny, gdyż zawsze miał do tego skłonności.

No tak! Wielkie uroczystości w stolicy zakończyły się i teraz studenci chcieli uczcić bohaterów, którzy powrócili do domu. Wszyscy udali się więc do studenckiego miasteczka.

Studenci to szczególnie rodzaj ludzi, którzy tylko czytają książki napisane przez wszechwiedzących doktorów i myślą, że umieją o wiele więcej od innych. Są przy tym młodzi, a co za tym idzie bezmyślni i okrutni.

Najpierw, koło południa, starzy doktorzy wygłosili mądre i pełne poważania mowy ku czci żeglarzy, a po południu studenci urządzili pochód przebierańców.

Hydrograf siedział z narzeczoną na balkonie pośród innych wielkich. Rozdzwoniły się dzwony na wieży kościelnej, zagrzmiała kanonada, rozległy się bębny, odezwały trąby, załopotwały flagi i zaczęły się owacje. Pochód ruszył.

Na przedzie ukazał się okręt z marynarzami i całym ekwipunkiem. Następnie pojawiły się morsy i niedźwiedzie polarne, a potem studenci poprzebierani za naszych bohaterów. Był wśród nich także i sam Wielki w futrze i okularach, przedstawiony bez zbytniego szacunku. Łatwo się domyślić, że taki wizerunek to wątpliwy zaszczyt, ale cóż! Intencje w każdym razie były dobre. Tak więc szedł ten, szedł i tamten, a wszyscy w wykonaniu poprzebieranym studentów.

Na końcu ukazał się hydrograf. Nie był to piękny mężczyzna, ale mężczyzna nie musi być piękny, byleby tylko był zdolnym hydrografem lub kimś innym zdolnym. Ależ oni go przedstawili! Zrobili z niego straszego brzydala i bekse. Można by się z tym jakoś pogodzić, gdyby nie fakt, że wyśmiewali się również z jego krótszej ręki, która była mu dana przez naturę. A tak nie powinno się robić, bo na kalectwo nie ma przecież rady.

Błazen, który udawał hydrografa, podszedł bliżej balkonu, gdzie siedział nasz bohater, i powiedział coś z południowym akcentem, co miało ośmieszyć hydrografa, pochodzącego ze Skanii. Było to głupie, bo przecież każdy mówi językiem, którego nauczył się od matki, i powinno się to uszanować.

Wszyscy się roześmieli jedynie przez grzeczność dla błazna, który dostarczał im darmowej rozrywki. Narzeczonej hydrografa zrobiło się jednak przykro. Nie chciała, by wyśmiewano się z jej przyszłego męża.

Hydrograf spochmurniał i zamknął się w sobie. Prysnęła cała radość z festynu. Nie pokazywał jednak tego po sobie w obawie, że wezmą go za głupca, który nie zna się na żartach.

Ale oto przyszło najgorsze! Błazen zatańczył. Był to jakiś mały taniec, aluzja do nazwiska hydrografa, tego nazwiska, które odziedziczył po swoim ojcu, i do imienia, które otrzymał na chrzcie od swojej matki. Imię to było dla niego święte i nigdy nie chciał go zmienić, mimo że brzmiało trochę pretensjonalnie.

Wtedy chciał wstać i wyjść. Ale narzeczonej go zatrzymała. Siedział więc dalej.

Kiedy pochód już przemaszerował i wszyscy na balkonie podnieśli się z miejsc, do narzeczonej hydrografa podszedł sam Wielki i kładąc przyjazną rękę na jej ramieniu, powiedział z właściwym mu dobrotliwym uśmiechem:

– Dziwny mają w tym kraju sposób czczenia swych bohaterów. Trzeba jednak przejść i przez to!

Po południu odbyło się kolejne przyjęcie, w którym hydrograf również uczestniczył. Gdzieś jednak prysnął jego dobry nastrój, czuł się mały i ośmieszony! Mniejszy nawet od błazna, któremu udały się żarty. Był przygnębiony i niespokojny o swą przyszłość. Zwątpił w siebie. Gdziekolwiek się ruszył w tym wielkim ogrodzie, widział swe krzywe odbicie w osobie błazna, który był wszędzie. Widział swe wady w powiększeniu, przede wszystkim swą pychę i swą dumę. Najgorsze jednak było to, że zostały odkryte jego tajemne myśli i pragnienia.

W ciągu trzech godzin męczarni przeprowadził rachunek sumienia. To, czego nie odważył mu się powiedzieć żaden człowiek, powiedział błazen. Dobrze jest poznać swoje wnętrze. Sokrates nazywa to nawet najwyższym dobrem. Pod koniec wieczoru hydrograf przezwyciężył samego siebie, przyznał się przed sobą do pewnych słabości i postanowił się zmienić.

Przechodząc koło jakiejś grupy ludzi, usłyszał za sobą czyjś głos:

– To zadziwiające, jak ten hydrograf zmienił się na korzyść! Zrobił się z niego całkiem miły człowiek.

Sprawiło mu to przyjemność, ale najbardziej ucieszyły go w głębi duszy słowa narzeczonej:

– Jesteś dziś taki miły, że aż piękny!

On piękny? To chyba jakiś cud, a cuda już się przecież nie zdarzają. Musiał jej jednak uwierzyć, choć wiedział, że jest brzydki.

W końcu Wielki zadzwonił w czarę i wygłosił mowę, która zaczynała się mniej więcej tak:

Kiedy zwycięzca rzymski jechał na rydwanie w triumfalnym pochodzie, towarzyszył mu zawsze niewolnik, który, podczas gdy lud i senat składali hołd zwycięzcy, wykrzykiwał tak: „Pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem!” A obok czterokonnego zaprzęgu siedł błazen, który swymi kpinami pomniejszał znaczenie zwycięstwa i szkalował charakter wodza w złośliwych przyśpiewkach. Był to stary, dobry zwyczaj, gdyż nic nie jest dla człowieka groźniejsze niż wiara w to, że jest bogiem; i nic nie jest bogom bardziej niemiłe niż ludzka pycha! – Moi młodzi przyjaciele, czyn, jakiego dokonaliśmy powracając do domu, został chyba przeceniony, wino zwycięstwa uderzyło nam do głowy. Dlatego dobrze się stało, że mogliśmy dziś zobaczyć wasze przedstawienie. Nie mówię tego, bym zazdrościł błaznowi jego roli, ani dlatego, bym wątpił w nasze dobre intencje, absolutnie nie, mówię to dlatego, by podziękować wam za ten osobliwy hołd, który nam złożyliście. Nauczył mnie, że wiele mam jeszcze do zrobienia, i będzie mi przypominał w chwilach pychy, że jestem tylko człowiekiem!

– Bravo! – wykrzyknął hydrograf.

Zabawa trwała nieprzerwanie w ogólnej wesołości i ku ogólnemu zadowoleniu, jedynie błazen wycofał się zawstydzony i zniknął.

Tyle o hydrografie i Wielkim! Teraz zobaczymy, co działo się z błaznem!

Błazen, który stał przy stole, podczas gdy Wódz wygłaszał mowę, napotkał wzrok hydrografa, wzrok przeszywający niczym maleńka płonąca strzała, która jest w stanie podpalić ogromną fortecę. Wychodząc w ciemną noc, czuł się tak, jakby płonęło na nim ubranie. Nie był on miłym człowiekiem. Błazni i kaci też są wprawdzie ludźmi, ale nie należą do tych najlepszych. Ten również miał wiele wad i słabości, podobnie jak my wszyscy, tylko że skrzętnie je ukrywał. Ale oto stało się z nim coś szczególnego. Ponieważ przez cały dzień naśladował hydrografa, a także trochę z powodu wypitego alkoholu, tak wczuł się w swoją rolę, że nie mógł z niej wyjść. Przyczepiły się do niego wszystkie słabostki i wady hydrografa, naładowały jego duszę, jak ładuje się magazynek. Był naładowany hydrografem i dlatego jak tylko wyszedł na ulicę, zaczął się pysznić i wychwalać. Tym razem jednak miał

pecha. Natknął się na policjanta, który kazał mu się uciszyć. Błazen rzucił jakiś dowcip z południowym akcentem. Trzeba to było widzieć! Policjant, który też przez przypadek pochodził ze Skanii, poczuł się urażony i pogonił błazna do aresztu. Błaznom równie trudno zrozumieć, że coś jest na poważnie, jak policji poznać się na żartach. Dlatego i nasz błazen stawiał gwałtowny opór wobec przedstawiciela władzy, co spowodowało, że poszła w ruch leszczynowa pałka i nie odbyło się bez bach! bach! bach!

Potem go wypuszczono.

Można by pomyśleć, że była to dla niego wystarczająca nauczka, ale okazało się, że nie!

Nie czuł wcale skruchy. Zawział się raczej w sobie i niczym Siuks wkroczył na ścieżkę wojenną, rozglądając się za kimś, na kim mógłby się zemścić.

Przypadkiem, a może nie, skierował się na ulicę Tullgatan i dalej do dzielnicy chłopskiej. Na podwórzu przy lampionach siedzieli wokół stołu chłopci i młynarze, pijąc zdrowie prawdziwych mężczyzn. Kiedy zobaczyli błazna, wzięli go za hydrografa i niezmiernie się uradowali, gdy zgodził się wypić z nimi szklaneczkę.

W tejże chwili pycha hydrografa wstąpiła w duszę błazna i rozgorzała pełnym płomieniem. Używał wzniosłych słów opowiadając o swoich wyczynach: o tym, że był głównodowodzącym ekspedycją, bo gdyby nie zmierzył głębokości morza, osiedliby na mieliźnie, i gdyby nie umiał czytać z gwiazd, nigdy nie powróciliby do domu.

Rozległo się „pac!” i jajko wylądowało między oczami błazna.

A młynarz powiedział tak:

– Hydrograf to bałwan; mogliśmy się o tym już wcześniej przekonać, to on napisał w gazecie, że Wielki to Humboldt!

Wtedy w błaznie odezwała się druga słabość hydrografa i powiedział coś, co nie było prawdą:

– Wielki to humbug!

Tego było już za wiele. Chłopi nie wytrzymali. Zmówili się i przywiązali błazna lejcami z wolego zaprzęgu do worka pełnego mąki. Umalowali mu twarz najlepszą mąką pszenną i wysmarowali nadpalonym knotem z lampy, a parobek młynarza przyszywał go w tym czasie do worka, używając szydła i nici żeglarskich.

Ale na tym nie koniec. Chłopska zgraja wyciągnęła furę, worek mąki i błazna na ulicę, a potem na wielki rynek.

Tam pokazywano go ludziom, którzy się zaśmiewali. Dobrze mu tak!

Kiedy go wypuszczono, odszedł samotnie na bok, usiadł na schodach i rozpłakał się. Dorosły mężczyzna, a płakał. Trochę go nawet było żal.

## KIEDY CZERNICZEK ZAMIESZKAŁ W SZAKŁAKU

Gdy stoi się w pobliżu portu, gdzie cumują parostatki, i patrzy na morze, widać na lewo górę całkowicie porośniętą młodym zielonym lasem, za którym stoi duży dom w kształcie pająka. Z jego okrągłego środka odchodzi osiem odnóg niczym osiem kończyn z pajęczego korpusu. Ten, kto trafi do tego domu, nie może wyjść, kiedy chce. Niektórzy pozostają tam do końca życia. To więzienie.

W czasach Oskara I góra nie była zielona. Przeciwnie, była szara i łysa, gdyż nie rosło na niej nic, ani mchy, ani dzikie bratki, które przyjmują się nawet na gołych skałach. Były tam tylko szare kamienie i szarzy, skamieniali z wyglądu ludzie, którzy tłukli kamienie, wysadzali kamienie i dźwigali kamienie. Wśród tych ludzi z epoki kamienia łupanego był jeden z wyglądu bardziej niż inni kamienny. Jeszcze za młodu, w czasach Oskara I, zamknięto go w tym więzieniu, bo zabił człowieka.

Był więźniem dożywotnim i na jego szarym ubraniu wyszyto czarne litery D.Ż.

Zimą i latem chodził po wzgórzu i kruszył kamienie. Zimą widział wyludnioną i pustą przystań dla parostatków, półokrągły pomost na palach wyszczerzonych niczym rząd zębów, drewnutnię, ujeżdżalnię i dwie bardzo duże nagie lipy. Czasem obok wysepki przemknął jakiś bojer z rozpiętym żaglem, czasem jacyś chłopcy na łyżwach. Poza tym panowały tam pustka i cisza.

Wraz z nadejściem lata robiło się weselej. Przystań zapełniały kolorowe statki, świeżo pomalowane i oflagowane. Zieleniły się lipy, pod którymi siadywał jako dziecko, czekając na ojca, palacza na jednym z tych pięknych parostatków.

Teraz już od wielu lat nie słyszał szumu wiatru w liściach drzewa, bo nic nie rosło na tej skale, ale wciąż w pamięci miał szum lip na Riddarholmen jedyną rzecz, za którą tęsknił.

Kiedy w niedzielę obok wysepki przepływał parostatek, więzień słyszał plusk fal, nieraz orkiestrę dętą i widział radosne twarze, które pochmurniały, ujrawszy na wzgórzu szarego kamiennego człowieka.

Przeklinał wtedy niebo i ziemię, swój los i ludzkie okrucieństwo. Przeklinał tak rok po roku. Jego towarzysze też urągali i przeklinali każdej nocy i każdego dnia, gdyż zbrodnia dzieli, lecz nieszczęście zbliża cierpiących do siebie.

Na początku życie w więzieniu było niepotrzebnie okrutne. Strażnicy znęcali się nad więźniami z lubością i bez litości. Lecz pewnego dnia nastąpiła odmiana. Wikt się poprawił, traktowanie stało się łagodniejsze i każdy więzień mógł spać we własnej celi. To sam król rozluźnił trochę więzienne pęta. Ponieważ jednak brak nadziei zamienił serca tych nieszczęśliwych w kamienie, nie odczuwali wdzięczności, lecz przeklinali w dalszym ciągu. Uświadomili sobie teraz, że weselej spać razem w jednej celi, bo można porozmawiać sobie nocami. Narzekali więc na jedzenie, ubranie i strażników, zupełnie jak przedtem.

Pewnego pięknego dnia rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście, a najgłośniejsze na Riddarholmen. To umarł król Oskar i więźniowie dostali jeden wolny dzień. Ponieważ wolno im było teraz ze sobą rozmawiać, rozmawiali o ucieczce, o tym, jak zabiją strażników, rozmawiali nawet o zmarłym królu i mówili o nim źle.

- Powinien nas być wypuścić, jeżeli był sprawiedliwy – powiedział jeden z więźniów.
- Albo powinien powsadzać wszystkich złoczyńców, którzy chodzą wolno.
- Wtedy sam musiałby zostać dyrektorem więzienia, bo trzeba by zamknąć cały naród.

Tak to już jest z więźniami, że wszystkich ludzi uważają za przestępców, a to, że sami zostali złapani, zwalają jedynie na pech.

Tymczasem trwał gorący letni dzień i nasz kamienny człowiek chodził ciągle po brzegu, słuchając bicia dzwonów po śmierci Oskara Łagodnego. Pod przybrzeżnymi kamieniami szukał głowaczy i cierników. Nie znalazł jednak żadnego. Nawet nieco dalej w głębokiej wodzie nie było widać ani płotek, ani uklejek. Dlatego nie było też ani jednej mewy, ani rybitwy. Kamienny człowiek odczuł ciężar przekleństwa wiszącego nad miejscem, do którego nie chciały się zbliżyć nawet ryby i ptaki. I znów zaczął rozpamiętywać swój los. Stracił imię otrzymane na chrzcie i nazwisko. Nazywał się teraz numer 65. Miał imię, które zapisuje się cyframi, a nie literami. Nie figurował w księgach podatkowych, nie płacił podatku, nie wiedział, ile ma lat. Nie był już człowiekiem, nie był żyjącą istotą, ale nie był też zmarłym. Był niczym. Jedynie czymś szarym, co porusza się po wzgórzu, straszliwie spalonym przez słońce, które piekło przez ubranie i prażyło w głowę, głowę o krótko obciętych włosach, a niegdyś lokach, rozczesywanych w każdą sobotę delikatną ręką matki. Nie mógł dziś nosić czapki, bo wtedy łatwiej mógłby uciec. Dlatego jak tylko słońce zaczęło prażyć mu ciemię, przypomniała mu się historia o proroku Jonaszu, który dostał od Pana tykwę, by mógł usiąść w jej cieniu.

– No i co mu z tego przyszło! – kpił sobie, bo nie wierzył już w żadne dobro! Absolutnie żadne!

W tej samej chwili zobaczył na brzegu bujający się na falach czubek brzozy, zielony z białym pniem. Wypadł pewnie ze statku wycieczkowego. Wyciągnął go na ląd, otrząsnął z wody i zabrał ze sobą daleko aż do rozpadliny skalnej, gdzie osadził pomiędzy trzema kamieniami. Usadowił się pod tą brzozą i słuchał, jak wiatr szumi leciutko w jej liściach, które pachną najwspanialszą żywicą.

Siedział tak przez chwilę w chłodzie, aż zasnął.

Śniło mu się, że:

Całe wzgórze było zielonym zagajnikiem ze wspaniałymi drzewami i pachnącym kwieciem. Ptaki śpiewały, pszczoły i trzmielce brzęczały, trzepotały motyle. Ale jedno drzewo, którego nie znał, rosło osobno. Było piękniejsze niż inne, gdyż miało, niczym krzak, kilka pni. Jego konary tworzyły takie ładne wzory i zawijasy jakby zrobione szydełkiem. Pośród błyszczącego listowia siedział mały czarno-biały ptaszek, podobny do jaskółki, chociaż nie była to jaskółka.

I jak to bywa we śnie, kamienny człowiek rozumiał ptasi śpiew. Słuchał więc, a ptak śpiewał tak:

„Tam błoto, błoto, błoto masz!  
Tu je, tu je, tu je dasz!  
W błocie, błocie zmarłeś i  
z błota wstaniesz nowy ty!”

Była to pieśń o błocie, o śmierci i o zmartwychwstaniu, tyle tylko zrozumiął.

Ale sen trwał. Więźniowi śniło się teraz, że stoi na skale, samotny w palącym słońcu, usychając z pragnienia i głodu.

Wszyscy koledzy odwrócili się od niego, grożąc mu śmiercią, ponieważ nie chciał z nimi podpalić więzienia. Z tyłu za nim stał cały tłum, który miotał w niego kamieniami i pędził na górę tak daleko, jak tylko się dało. Naraz wyrósł przed nim mur.

Nie miał szans, żeby go przeskoczyć, dlatego straciwszy ostatnią nadzieję, postanowił walnąć głową w ten mur, żeby się zabić.

Ruszył z góry i oto w tej samej chwili otworzyła się brama, zielona brama do ogrodu... i ... właśnie wtedy się obudził!

Kiedy zrozumiął, gdzie jest, i zobaczył, że wspaniały ogród skurczył się do kilku brzozowych gałązek, poczuł się rozczarowany i rzekł sam do siebie:



– Żeby to była chociaż lipa.

Szum brzozy wydał mu się zbyt ostry, brzmiał zupełnie tak, jakby ktoś przesypywał piasek lub drobne kamienie, podczas gdy lipa potrafiła wygrywać najczulsze tony.

Następnego dnia brzoza zwiędła i dawała już bardzo mało cienia.

A dzień później liście jej wyschły niczym kartki papieru i zgrzytały jak zęby. W końcu w rozpadlinie stały tylko brzozowe różgi, które przypominały mu dzieciństwo.

Wtedy znowu pomyślał o tykwie proroka i przeklinał, gdy słońce zaczęło palić mu ciemię.

Nastał nowy król i we władzach kraju oraz w rządzie nastąpiło ożywienie. Postanowiono przekopać przez miasto nowy tor wodny, dlatego wszystkich więźniów załadowano na barki do bagrowania.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat kamienny człowiek opuścił swoją wyspę. Był znowu na wodzie. W rodzinnym miasteczku zobaczył tyle nowego! Przede wszystkim kolej żelazną i lokomotywę parową. Bagrować mieli tuż poniżej stacji.

Zaczęli wyciągać na wierzch wszystkie nieczystości, które leżały na dnie morza. Były tam potopione koty i stare buty, zjełczały tłuszcz z fabryki świec, barwiące włókna z farbiarni „Blå Hand”, kora z garbarni i wszystkie ludzkie nieszczęścia, które w ciągu setek lat wypłukiwały z, ubrań pracujące na mostku praczki.

Bagrowaniu towarzyszył tak nieznośny smród siarki i amoniaku, że tylko więzień mógł to wytrzymać.

Kiedy załadowano już barcę, więźniowie zaczęli zadawać sobie pytanie, gdzie wyrzucą cały ten brud. Odpowiedź nasunęła się sama, jak tylko barka wzięła kurs na ich wyspę.

Właśnie tam składowano całe to błoto. Obrzucono nim wzgórze, a powietrze wokół przesyciła zatruta woń. Nurzali się w tym brudzie, który oblepiał im ubrania, ręce, twarze.

– To piekło! – mówili.

Przez parę lat bagrowali i przykrywali mułem skałę, która w końcu zupełnie zniknęła.

Każdego roku późną jesienią śnieg rozciągał białe prześcieradło na wszystkie te nieczystości.

A kiedy ostatniej wiosny śnieg się roztopił, straszny smród ulotnił się, a błoto zaczęło wyglądać jak ziemia. Tej wiosny zakończono bagrowanie, a nasz Kamienny Człowiek otrzymał pracę w kuźni i nie odwiedzał już swojej wyspy. Lecz pewnego razu jesienią wymknął się tam i zobaczył coś przedziwnego.

Na mule rosły zioła. Oczywiście brzydkie, pospolite zioła. Przeważnie uszczep, podobny do pokrzywy, ale z brązowymi kwiatami, co już samo w sobie jest wstrętne, bo przecież kwiaty powinny być białe, żółte, niebieskie lub czerwone. Były tam nawet prawdziwe pokrzywy kwitnące na zielono i łopiany, szczaw, osty, lebioda, wszystkie te najbrzydsze, parzące, kłujące, śmierdzące zioła, których ludzie nie kochają i które porastają wysypiska, pogorzelska i szamba.

– Oczyszciliśmy wodę, wydobyliśmy brudy – powiedział więzień – i oto podziękowanie!

Teraz Kamienny Człowiek został wywieziony na nową wyspę, którą przerabiano na fortecę, i znów pracował w kamieniach, kamieniach, kamieniach!

Stracił jedno oko i od czasu do czasu był bity. Przebywał tam tak długo, aż zdążył umrzeć nowy król i na tronie zasiadł jego następca. W dzień koronacji jeden z więźniów miał zostać ulaskawiony i uwolniony. Ten, który zachowywał się nienagannie i zrozumiał, że dopuścił się nieprawości. I tak się stało! Ale inni więźniowie uznali, że takie postępowanie jest wobec nich niesprawiedliwe, gdyż tego, który żałuje, zwykło się uważać w tych kręgach za oszusta.

Mijały lata! Nasz Kamienny Człowiek bardzo się zestarzał. Ponieważ był już nieprzydatny do cięższych prac, przewieziono go z powrotem na jego wyspę, by szyć worki.

Pewnego dnia przyszedł do niego ksiądz.

– No – powiedział – czy ty już nigdy stąd nie wyjdiesz?

– A czy to możliwe, żebym stąd wyszedł? – zapytał Kamienny Człowiek.

- Byłoby możliwe, gdybyś w końcu zrozumiał, że postąpiłeś niesprawiedliwie!
- Jeżeli spotkam człowieka, który robi w życiu więcej niż tylko to, co uchodzi za sprawiedliwe, wtedy uwierzę, że postąpiłem niesprawiedliwie! Ale tak się nigdy nie stanie.
- Robi więcej niż to, co sprawiedliwe! To znaczy jest miłosierny. Obyś go spotkał jak najszybciej!

Pewnego dnia Kamiennego Człowieka odkomenderowano do budowy dróg w głębi wyspy, w miejsce, którego nie widział chyba ze dwadzieścia lat.

Był to znowu letni, gorący dzień. W pobliżu buczały radośnie parostatki barwne niczym motyle.

Kiedy stanął na cyplu, nie zobaczył skały, tylko wspaniały, zielony zagajnik, w którym liście połyskiwały na wietrze jak małe fale na morzu. Rosły tam wysokie, białe brzozy i drżące osiki, a nad samym brzegiem olchy!

Było zupełnie tak, jak w tamtym śnie. Pod drzewami szeptała trawa i mrugały kwiatki, fruwały trzmiele i trzepotały motyle. Śpiewało niezliczone mnóstwo ptaków, ale nie rozumiał ich mowy, a więc tym razem to nie był sen.

Przekłete wzgórze zamieniło się w błogosławione. Nie mógł opędzić się od myśli o proroku i tykwie.

– Oto jest łaska i miłosierdzie! – odezwało się coś w jego wnętrzu, jakiś głos, jakieś upomnienie.

A kiedy obok przepływał parostatek, twarze na nim nie spochmurniały, lecz rozjaśniły się na widok pięknej zieleni. Wydało mu się, że ktoś mu pomachał, jak się macha, przepływając koło czyjegoś lotniska.

Poszedł ścieżką przed siebie pod szumiącymi drzewami. Nie było tam lip, ale nawet nie odważyłby się pomyśleć o lipach w obawie, by brzozy nie przemieniły się w suche różgi. Tyle przynajmniej już się nauczył.

Kiedy tak szedł przed siebie pod kopułą z listowia, ujrzał w oddali biały mur, a w nim zieloną drewnianą furtkę. Usłyszał, że coś gra. Nie były to jednak organy, gdyż dźwięki wydawały się żywsze i weselsze. Ponad murem wznosił się piękny dach jakiejś willi, a na wietrze powiewała niebiesko-żółta flaga.

Zobaczył kolorową piłkę, która to wzbijała się w górę, to opadała w dół. Szczebotały dziecinne głosy, a brzęk talerzy i szkła mówił mu, że nakrywa się do stołu.

Podszedł do furtki i zobaczył... Kwitnące bzy, a pod nimi stół nakryty obrusem, obok bawiły się dzieci, słychać było muzykę i śpiew.

– To raj! – odezwał się w nim jakiś głos.

Długo stał i patrzył. Tak długo, że aż ogarnęły go zmęczenie, głód, pragnienie i wszystkie nieszczęścia tego świata.

Wtedy otworzyła się furtka i wyszła z niej jasno ubrana dziewczynka. Niosła w rękę srebrną tacę, a na niej kieliszek z winem, które było najczerwieńsze ze wszystkiego, co widział. Dziecko podeszło wprost do starego i powiedziało:

– Chodź tu, dziadku, dostaniesz wina.

Stary wziął wino i wypił. Było to wino bogaczy, przywiezione z daleka, ze słonecznych krajów. Smakowało jak sama słodycz życia.

– Oto miłosierdzie! – powiedział jego własny łamiący się głos. – Ale gdyby nie twoja nieświadomość, moje dziecko, gdybyś wiedziała, kim jestem, pewnie nie podałaś mi tego napoju. Czy wiesz, kim jestem?

– Tak, jesteś oczywiście więźniem! – odpowiedziała dziewczynka.

– A więc wiedziałaś! I mimo to... Oto miłosierdzie.

Kiedy stary Kamienny Człowiek szedł z powrotem, nie był już z kamienia. I w nim również coś zakiełkowało.

Przechodząc obok urwiska, zobaczył drzewo o wielu konarach niczym krzew, najpiękniejsze ze wszystkich. Był to szakłak, tylko że stary o tym nie wiedział. W gałęziach kręcił się mały ruchliwy ptaszek, czarno-biały jak jaskółka, nazywany przez ludzi czerniczkiem, mimo że naprawdę nazywa się jakoś inaczej. Usadowił się w największej gęstwinie i śpiewał smutno, lecz łagodnie:

W błocie, w błocie zmarłeś i

Z błota wstaniesz nowy ty!

Zupełnie jak w tamtym śnie, lecz teraz stary już wiedział, co czerniczek chciał mu powiedzieć.

## TAJEMNICE TYTONIOWEJ STODOŁY

Kiedys dawno temu pracowała w Operze pewna młoda dziewczyna.

Była tak piękna, że ludzie oglądali się za nią na ulicy, a śpiewała jak mało kto.

Dyrygent i kompozytor w jednej osobie ofiarował jej swoje królestwo, a wraz z nim swoje serce. Królestwo przyjęła, lecz sercu kazała czekać.

Stała się wielka, tak wielka jak nikt. Kiedy jechała ulicami wiktoria, mrugała do swoich portretów, które widniały w witrynach wszystkich księgarń.

Jej sława rosła jeszcze bardziej, a podobizny pojawiły się na kartkach pocztowych, opakowaniach od mydła i na pudełkach od cygar. W końcu jej portret zawisł w foyer między nieśmiertelnymi i wówczas zrobiła się, krótko mówiąc, bardzo nadęta.

Któregoś dnia stała na molo wysuniętym daleko w morze. Fale były spienione i bardzo silny prąd. Dyrygent stał oczywiście tuż obok, podobnie jak wielu innych młodych mężczyzn. Piękna bawiła się różą, na którą wszyscy panowie patrzyli z pożądaniem. Miał ją jednak dostać ten, kto zdoła ją sobie wziąć.

I dziewczyna rzuciła różę daleko w morskie fale. Młodzieńcy popatrzyli w ślad za kwiatem, ale tylko jeden dyrygent skoczył natychmiast do morza i płynąc niczym mewa na falach chwycił różę ustami.

Na molo rozległy się oklaski, a on zobaczył w jej oczach miłość. Kiedy jednak chciał zawrócić w stronę lądu, okazało się, że nie może ruszyć z miejsca. Spychał go przeciwny prąd. Ona nic o tym nie wiedząc, myślała, że to zabawa, i śmiała się wesoło. Dyrygent, – któremu śmierć – zaglądała w oczy, źle zrozumiał ten śmiech. Ukłął go w samo serce i skończyła się jego miłość.

Mimo to, z pokrwawionymi o pomost rękami, wy dostał się w końcu na ląd.

– Oto moja ręka – powiedziała piękna.

– Nie chcę jej – odpowiedział dyrygent, odwrócił się i odszedł.

Była to obraza majestatu, dlatego musiał umrzeć.

W jaki sposób został zmuszony do ustąpienia ze swego stanowiska, wiedzą tylko ludzie teatru, którzy znają się na tych sprawach. Siedział mocno i potrzeba było aż dwóch lat, by się go pozbyć.

A jednak w końcu padł. Dziewczyna, pozbywszy się swego dobroczyńcy, triumfowała. Zrobiła się jeszcze bardziej nadęta, tak że nawet zaczęło to być widoczne. Publiczność dostrzegła, że pod makijażem kryje się złe serce i dlatego nie wzruszały już nikogo jej pieśni, nikt nie wierzył w jej łzy ani w jej śmiech.

Zauważyła to i zgorzkniała. Zarządzała teraz całym teatrem, przeszkadzała wszystkim, którzy chcieli się wybić, i kazała źle pisać o nich w gazetach.

Straciła względy publiczności, lecz zachowała władzę. Teraz, kiedy była bogata, potężna i zadowolona z siebie, zaczęła używać życia, a ludzie, którzy używają życia, nie należą do najchudszych, mają raczej skłonności do tycia. I ona też stopniowo robiła się coraz bardziej korpulentna.

Zacząło się to tak powoli i niepostrzeżenie, że zanim się zorientowała, było już za późno. Rymy! Z górki jedzie się szybko, a ta podróż odbyła się w isticie zawrotnym tempie. Tortury, którym się poddawała, nie pomagały. Jej kuchnia należała do najbardziej wykwintnych w mieście, lecz ona musiała głodować. A im więcej głodowała, tym stawała się grubsza.

Po roku wypadła z gry i obniżono jej pensję. Po dwóch latach była na wpół zapomniana i zastąpiona przez młodsze, a trzeciego roku została zwolniona. Wynajęła wówczas pokój na poddaszu.

– To była straszna otyłość – powiedział reżyser do suflera.

– To nie otyłość, to rozdęcie! – odpowiedział sufler.

Siadywała teraz na poddaszu i spoglądała na pola w dole. Stała tam stodoła na tytoń, którą dziewczyna polubiła za to, że nie było w niej okien, przez które ludzie mogliby ją podglądać. Pod dachówką mieszkali wróble, ale nie rozwieszano tam nigdy tytoniu, bo też nic takiego w okolicy nie rosło.

Przez całe lato śpiewaczka siedziała i patrzyła na stodołę, zastanawiając się, do czego może służyć. Wierzeje ciągle były zamknięte na wielką kłódkę i nikt przez nie nie wchodził ani nie wychodził. Przeczuwała, że stodoła kryje w sobie jakieś tajemnice, ale jakie, o tym miała się już wkrótce dowiedzieć.

Z czasów minionej sławy zostały dziewczynie jeszcze dwa wspomnienia, których trzymała się kurczowo i którymi żyła: były to jej popisowe role – Carmen i Aida – wciąż nie obsadzone z braku następczym. W pamięci publiczności żyły więc jeszcze jej wspaniałe kreacje.

Nastał sierpień. Zapalono latarnie i znów otwarto teatru.

Śpiewaczka siedziała przy oknie i spoglądała na stodołę, którą dopiero co pomalowano czerwoną farbą i pokryto nową dachówką.

Od strony kartofliska nadszedł jakiś człowiek. Niósł duży, zardzewiały klucz. Otworzył stodołę i wszedł do środka.

Potem przyszło jeszcze dwóch mężczyzn, którzy wydali jej się znajomi. Oni również zniknęli w stodole.

Zaczynało to być interesujące.

Po chwili trzech mężczyzn wyszli na zewnątrz dźwigając coś dużego i dziwnego, co przypominało spody od łóżek albo parawany.

Przed wejściem odwrócili niesione przedmioty i oparli skosem o ścianę stodoły. Ukazał się na nich tandetnie namalowany piec kaflowy, a dalej drzwi do jakiegoś wiejskiego domku czy do chatki myśliwego. Potem przyniesiono las, okno i bibliotekę.

Były to teatralne dekoracje. Po chwili rozpoznała krzak róży z „Fausta”.

A więc w stodole znajdował się magazyn dekoracji należący do Opery, a przy tym krzaku róży ona sama kiedyś śpiewała:

„Jesteś moim małym kwiatkiem”.

Kiedy zrozumiała, że będą wystawiać „Fausta”, odczuła ból. Pocieszała się jednak myślą, że to nie ona śpiewała tam główną partię Małgorzaty.

– Niech sobie grają „Fausta”! Lecz gdy tkną „Carmen” lub „Aidę”, umrę!

Siadywała w oknie i obserwowała, jak zmienia się repertuar. Czternaście dni wcześniej niż gazety wiedziała, co będzie wystawiać Opera. Była to w każdym razie jakaś rozrywka! Widziała, jak wyciągają ze stodoły „Wolnego strzelca” z Wilczym Jarem i całą resztą „Holendra Tułacza” wraz ze statkiem i morzem, „Tannhausera”, „Lohengrina” i wiele innych.

Aż nadszedł ten straszny dzień, bo w końcu zawsze musi przyjść to, co nieuniknione. Mężczyźni (jeden, jak pamiętała, nazywał się Lindqvist) najpierw z czymś się mocowali, a potem wyciągnęli rynek hiszpański. Kulisy były trochę przekrzywione i nie mogła dokładnie zobaczyć, co przedstawiają. Kiedy jednak jeden z mężczyzn przekreślił powoli ramę i potem ją odwrócił, ukazała się brzydka, tylna ściana, a na niej napisane wielkimi literami, które odślaniały się jedna za drugą powoli, jakby specjalnie po to, by sprawić jej ból: C, A, R, M, E, N. To była „Carmen”!

Teraz umrę! – powiedziała śpiewaczka. Ale nie umarła biedaczka ani teraz, ani później, kiedy wystawiono „Aidę”. Jej imię zostało wymazane z ludzkiej pamięci, z witryn księgarń i z pocztówek. W końcu w jakiś tajemniczy sposób zniknął nawet jej portret z foyer.

Nie mogła pogodzić się z tym, że ludzie tak szybko zapominają. Było to wprost niewytłumaczalne. Oplakiwała samą siebie tak, jak oplakuje się zmarłego, bo tamta śpiewaczka, tamta uwielbiana, naprawdę już nie żyła!

Pewnego dnia spacerowała samotnie po pustej ulicy, na której było wysypisko śmieci. Zatrzymała się przy nim bezwiednie i jakby na dowód swej śmierci zobaczyła leżącą na wierzchu pocztówkę ze swoim zdjęciem w roli Carmen.

Odeszła stamtąd w pośpiechu, tłumiąc płacz. Doszła do przecznicy i zatrzymała się przy niewielkiej księgarskiej wystawie. Miała zwyczaj przystawać przy takich wystawach i patrzeć, czy nie wywieszono na nich jej zdjęcia. Ale tutaj go nie było. Wisiał natomiast plakat, z którego wbrew swojej woli wyczytała przedziwne słowa:

„Oblicze Pana zwraca się przeciw źle czyniącym, by pamięć o nich wygładzić z ziemi”.

Przeciw źle czyniącym! Oto dlaczego pamięć o niej została wymazana. To było wytłumaczenie!

– Ale czy zło nie może przemienić się w dobro? Czy nie dość już wycierpiałam? – skarżyła się.

Doszła do pustego lasu. I kiedy tak szła pełna z wątplenia, zdruzgotana i poniżona, ujrzała przed sobą człowieka, który pytał wzrokiem, czy wolno mu ją pozdrowić.

Był to dyrygent. Ale w jego oczach nie było wymówek ani pogardy, ani też współczucia. Wyrażały podziw, zaskoczenie i czułość.

– Ależ ty zeszczupliałaś i wypiękniałaś, Hanno – powiedziały jego usta.

Spojrzała na siebie i odkryła, że to prawda. Smutek wypalił przerośnięte, nadęte ciało i stała się jeszcze piękniejsza niż dawniej.

– I jesteś wciąż tak samo młoda! A nawet młodsza!

Były to pierwsze dobre słowa, jakie usłyszała od długiego czasu, a ponieważ pochodziły od tego, któremu wyrządziła tyle zła, rozumiała, co znaczy być dobrym człowiekiem, i nie omieszkała mu tego powiedzieć.

– Czy ciągle masz taki piękny głos, Hanno? – przerwał jej dyrygent, którego krępowwały wszelkie komplementy.

– Nie wiem! – szlochała śpiewaczka.

– Przyjdź jutro do sali prób... Tak, do mnie, do Opery, to posłuchamy. Widzisz, znowu tam pracuję...

I śpiewaczka przyszła, a potem zaczęła występować.

Publiczność jej przebaczyła i zapomniała, zapomniała całe zło. Teraz jest równie wielka jak przedtem, a może nawet jeszcze większa.

Była to bardzo budująca historia!

## OPOWIEŚĆ ŚWIĘTEGO GOTHARDA

Jest sobotni wieczór w Goschenen w Kantonie Uri, jednym z czterech prastarych kantonów, kantonie Wilhelma Tella i Waltera Fursta, leżącym po północnej stronie masywu Świętego Gotharda, gdzie mówi się po germańsku i gdzie mieszka spokojny, przyjacielski lud, rządzący się własnymi prawami, gdzie „święty las” służy za osłonę przed lawinami i osuwiskami, gdzie nad strumieniem pełnym pstrągów, napędzającym młyńskie koło, leży zielona wioska.

W ten to sobotni wieczór, kiedy dzwon wzywa na „Anioł Pański”, ludzie z wioski zbierają się przy studni pod wielkim orzechem włoskim. Nadchodzi naczelnik poczty, naczelnik gminy i pułkownik we własnej osobie, wszyscy w samych koszulach i z kosami na ramionach. Idą wprost z sianokosów, by najpierw wyczyścić kosy, bo praca jest tu szanowana i to, co zrobi się samemu, jest zrobione najlepiej. Dołączają do nich chłopcy również z kosami i dziewczyny ze skopkami mleka. Na końcu spędzane są krowy, rodzimej rasy olbrzymów, a każda krowa wielka niczym byk. Bogaty to kraj i błogosławiony, ale niestety po północnej stronie masywu Gotharda nie rodzi się wino ani oliwki, nie rośnie kapakowe drzewo ani bujna kukurydza. Zielona trawa, złoty jęczmień, rozłożyste orzechy włoskie i mięsista boćwina – oto całe bogactwo tej ziemi.

Gospoda „Pod Złotym Koniem” leży w pobliżu studni, poniżej urwiska Świętego Gotharda. Właśnie tam w ogrodzie przy długim stole siedzą teraz po całym dniu pracy zmęczeni kosiarze, wszyscy jak równy z równym: naczelnik gminy, naczelnik poczty, pułkownik, parobcy, właściciel wytwórni słomkowych kapeluszy i jego robotnicy, drobni wioskowi szewcy, nauczyciel i inni.

Rozmawiają o plonach i o udoju. Śpiewają razem pieśni, których proste trójdzwójki brzmią niczym róg pasterski i dzwonki. Śpiewają o wiośnie i jej uciechach, pełni wiary i nadziei.

I piją jasne piwo.

Młodzież wstaje, by się zabawić, posiłować, poskakać, bo nazajutrz będzie święto łowieckie i konkurs strzelania, w czasie którego trzeba wykazać się zręcznością.

Capstrzyk odtrąbiono wcześniej tego wieczoru, żeby nazajutrz nikt nie przyszedł na uroczystości niewyspany i ociężały, gdyż stawką miał być honor wsi.

Niedziela zaczęła się biciem dzwonów i blaskiem słońca. Z okolicznych wiosek schodzili się odświętnie ubrani ludzie. Wszyscy rześcy i wyspani. Prawie wszyscy mężczyźni zamienili kosy na strzelby. Panny i mężatki rzucały im uważne i ponętne spojrzenia, bo to przecież dla nich uczyli się sztuki strzelania, a zdobywca pierwszego miejsca wiedział, że w nagrodę otworzy pochód taneczny w parze z najpiękniejszą.

Nadjechał ogromny wóz, ciągniony przez cztery okazałe konie, całe we wstążkach i kwiatach; wóz niczym wielka liściasta altana z ławkami w środku. Nie widać było w niej ludzi, tylko słychać było pieśń, piękną, wzniosłą pieśń o ziemi szwajcarskiej i Szwajcarach, najpiękniejszym i najdzielniejszym z ludów.

Nadszedł pochód dzieci, które maszerowały parami ręka w rękę, jak najlepsi przyjaciele albo mali nowożeńcy.

Kiedy rozdzwoniły się dzwony, wszyscy udali się do kościoła.

Po mszy rozpoczęła się zabawa. Na strzelnicy, która opierała się o ścianę urwiska Świętego Gotharda wnet huknęły strzały.

Mistrzem wioski w strzelaniu był syn naczelnika poczty i nie ulegało wątpliwości, że to on zdobędzie nagrodę. Wystrzelał swoją serię i miał cztery trafienia na sześć.

Ale oto w górze na skałach dał się słyszeć stukot i grzmot. Kamienie i żwir stoczyły się w urwisko, a świerki w świętym lesie, który osłaniał i chronił, rozkołysały się jak przed burzą. Na bloku skalnym ukazał się łowca kozic – Andrea z Airolo, włoskiej wioski w kantonie Ticino po drugiej stronie góry.

Stał z fuzją na ramieniu, machając kapeluszem.

– Nie wchodź do lasu! – krzyknęli wszyscy strzelcy.

Andrea nie zrozumiał.

– Nie wchodź do świętego lasu! Góra się na nas zwali! – krzyknął naczelnik gminy.

– A niech się zwali! – odpowiedział Andrea i biegiem pokonał urwisko. – Oto jestem!

– Przyszedłeś za późno – powiedział naczelnik.

– Jeszcze nigdy nie przyszedłem za późno – odparł Andrea i podszedł do strzelnicy. Przyłożył fuzję sześć razy do policzka i zdobył sześć punktów.

Teraz on byłby zwycięzcą, gdyby nie to, że trzeba przestrzegać zasad gry. Poza tym ciemni Włosi z drugiej strony góry, gdzie rodzi się wino i przędzie jedwab, są tu nie lubiani. Zadawniona to nienawiść i strzały Andrei nie mogły nic na to poradzić.

Mimo to Andrea podszedł do najpiękniejszej, a była nią córka samego naczelnika gminy i poprosił wytwornie, by zechciała otworzyć z nim pochód taneczny.

Piękna Gertruda oblała się rumieńcem, gdyż podobał jej się Andrea, lecz musiała odmówić jego prośbie.

Andrea spochmurniał, pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha coś, od czego aż się zaczerwieniła:

– Będiesz moja, nawet gdyby przyszło mi czekać dziesięć lat. Osiem godzin szedłem przez góry, by się z tobą zobaczyć, i dlatego się spóźniłem, ale następnym razem przyjdę na czas, nawet gdybym miał przejść przez środek tej góry!

Uroczystości zakończyły się, a wraz z nimi i tańce. Wszyscy strzelcy usiedli przed gospodą „Pod Złotym Koniem” i Andrea także. Na honorowym miejscu siedział Rudi, syn naczelnika poczty, ponieważ został mistrzem strzelców, zgodnie z zasadami gry oczywiście, choć tak naprawdę mistrzem był Andrea.

Rudi szukał sprzeczki.

– Jesteś prawdziwym myśliwym, Andrea – powiedział – więc musisz wiedzieć, że ustrzelić kozicę to nie to samo, co ją dostać.

– Jak ją ustrzeliłem, to ją dostanę – odpowiedział Andrea.

– To ci dopiero! Do obręczy Barbarossy strzelali wszyscy, ale nikomu nie udało się jej dostać! – ciągnął Rudi.

– Co to jest obręcz Barbarossy? – zapytał obcy, który nigdy przedtem nie był w Goschenen.

– Oto i ona – odpowiedział Rudi. Jest tam.

Pokazał na górną ścianę masywu, gdzie wisiała na haku duża miedziana obręcz.

– Cesarz Fryderyk I Barbarossa zwykł jeździć tą drogą do Włoch. Pokonywał ją sześć razy, by koronować się w Mediolanie i w Rzymie. A ponieważ był niemiecko-rzymskim cesarzem, kazał zawiesić tę obręcz po niemieckiej stronie na znak, że złączył Niemcy z Włochami. Wieść niesie, że jak obręcz zsunie się z haka, nieszczęśliwe małżeństwo zostanie rozwiązane.

– A więc ja je rozwiążę – powiedział Andrea – tak jak moi ojcowie uwolnili biedną krainę Ticino od tyranów ze Schwyz, Uri i Unterwalden.

– Nie jesteś Szwajcarem? – zapytał ostro naczelnik gminy.

– Nie, jestem Włochem z Konfederacji Szwajcarskiej.

Następnie załadował fuzję żelaznym nabojem. Wycelował i wypalił!



Dumna obręcz Hohenstaufów i Barbarossy zachwiała się i zsunawszy się z haka potoczyła się w dół.

– Niech żyją wolne Włochy! – krzyknął Andrea, wymachując kapeluszem.

Nikt mu jednak nie zawtórował.

Andrea podniósł obręcz i podając ją naczelnikowi, rzekł:

– Zachowaj tę obręcz na pamiątkę po mnie i na pamiątkę tego dnia, w którym postąpiłeś wobec mnie niesprawiedliwie.

Potem podszedł do Gertrudy i pocałował ją w rękę.

Wdrapał się na górę i zniknął; znów się pokazał i znów zniknął w obłoku. Po chwili ukazał się jeszcze wyżej. A właściwie to nie był już on, lecz jego olbrzymi cień na chmurze. Stał z zaciśniętą pięścią wygrażając niemieckiej wiosce.

– To był chyba szatan we własnej osobie! – powiedział pułkownik.

– Nie, to był Włoch! – zaproponował naczelnik poczty.

– Ponieważ jest już późny wieczór – powiedział naczelnik gminy – mogę wam zdradzić pewną tajemnicę rządową, o której napiszą jutro w gazetach!

– Słuchamy! Słuchamy!

– Otóż nadszedł telegram, że po tym, jak cesarz francuski został uwięziony w Sedanie, Włosi wypędzili oddziały francuskie z Rzymu, a Wiktor Emanuel jest właśnie w drodze do stolicy.

– To wielka nowina. A więc już koniec niemiecko-rzymskich spacerów! Andrea musiał o tym wiedzieć, skoro był taki mocny w gębie!

– Musiał też wiedzieć coś więcej! – powiedział naczelnik.

– Co takiego? Co takiego?

– A no, zobaczmy!

I zobaczyli.

Pewnego razu ujrzeli obcych mężczyzn z przyrządami, wpatrujących się w górę. Wyglądało to tak, jakby wypatrywali obręcz Barbarossy, gdyż właśnie w tamtą stronę kierowali lornetki. Patrzyli też na kompas, zupełnie jakby nie wiedzieli, gdzie jest północ, a gdzie południe.

„Pod Złotym Koniem” urządzono wspaniałe przyjęcie, na którym był również naczelnik gminy. Podczas deseru mówiono tylko o milionach i milionach.

Jakiś czas potem zobaczyli, jak zburzono gospodę „Pod Złotym Koniem”, jak rozebrano kościół kawałek po kawałku i postawiono trochę wyżej, zobaczyli, jak połowę wioski zrównano z ziemią i jak wybudowano koszary, zobaczyli, jak strumień zmienił swój bieg, jak zatrzymano koło młyńskie, zamknięto fabrykę i sprzedano bydło.

Następnie przybyło trzy tysiące smagłych robotników, mówiących po włosku.

Ucichły wtedy piękne pieśni o starej szwajcarskiej krainie i o urokach wiosny.

W zamian całe dnie i noce słychać było walenie, a tam gdzie wisiała przedtem obręcz Barbarossy, wetknięto świder. Zaczęto wysadzać skały. Przez środek góry miał być wykopany tunel.

Nietrudno, jak wiadomo, zrobić dziurę w skale, ale tym razem planowano wywiercić dwie dziury, po jednej z każdej strony i te dwie dziury miały się spotkać dokładnie w środku góry, w co nikt nie mógł uwierzyć, gdyż było to aż półtorej mili do przebiccia. Półtorej mili!

– Pomyśleć tylko, co się stanie, jak się nie spotkają! Wszystko trzeba będzie zacząć od początku!

Ale naczelny inżynier powiedział: spotkają się.

I Andrea uwierzył w słowa inżyniera, bo sam też miał przecież cel, o czym wiemy. Zgodził się do pracy i okazał się najlepszy.

Robota mu odpowiadała. Nie oglądał co prawda słońca, zielonych pól i białych hał, ale wiedział, że toruje sobie drogę do Gertrudy, własną drogę przez górę, którą w chwili uniesienia obiecał kiedyś przybyć.

Przez osiem lat harował w ciemnościach jak wół. Przeważnie nagi, w trzydziestostopniowym upale. Czasami natrafiali na podziemną rzekę i wtedy żył w wodzie, czasami na pokłady gliny i wtedy żył w brudzie. Powietrze prawie zawsze było nieświeże. Padali jego koledzy, a na ich miejsce przychodzili nowi. W końcu padł również Andrea i znalazł się w szpitalu. Majaczył w gorączce, że oba tunele nigdy się nie spotkają, i strasznie go to gnębiło. Nigdy się nie spotkają!

W tej samej sali leżał mieszkaniec Uri, który także miewał przywidzenia. Kiedy opuszczala ich gorączka, obaj zadawali sobie to samo pytanie:

– Czy sądzisz, że się spotkamy?

Tak, nigdy przedtem mieszkańcy Ticino i mieszkańcy Uri tak bardzo nie pragnęli się spotkać, jak teraz w środku tej góry. Wiedzieli, że jeśli się tam spotkają, to tysiącletnia nienawiść zniknie i padną sobie zbratani w ramiona.

Andrea wyzdrowiał i wrócił do pracy. Brał udział w strajku w 1875; rzucał kamieniami, trafił do więzienia, lecz potem znów wyszedł na wolność.

W roku 1877 spłonęło Airolo, jego rodzinna wieś.

– Spaliłem za sobą mosty, więc muszę iść do przodu – powiedział.

19 czerwca 1879 roku stał się dniem żałoby. Naczelnny inżynier, który wszedł do tunelu, by zrobić pomiary i obliczenia, został zabity przez spadający kamień. Pośrodku drogi! Wykopano mu w tym miejscu grób jak faraonowi, w największej ze skalnych piramid, a jego nazwisko – Favre – wyryto w skale.

Tymczasem mijały lata. Andrea gromadził pieniądze, doświadczenie i siłę. Goschenen nie odwiedzał nigdy, tylko raz na rok chodził do „Świętego lasu” i patrzył na zniszczenia.

Nie widywał Gertrudy ani do niej nie pisał. Nie musiał, bo wciąż żyła w jego myślach, i czuł, że jest mu przychylna.

Siódmego roku zmarł naczelnik gminy w skrajnej nędzy.

– Co za szczęście, że był biedny! – pomyślał Andrea, a nie każdy zięć tak by sobie pomyślał.

Ósmego roku wydarzyło się coś szczególnego. Andrea stał na przedzie tunelu po włoskiej stronie i walił w świder. Ledwie wystarczało powietrza. Było tak duszno, że aż szumiało mu w uszach. Nagle usłyszał stukanie, przypominające chrząszcza zwanego kołatką, który zwiastuje ludziom rychłą śmierć.

– Czyżby nadeszła moja ostatnia godzina? – pomyślał na głos.

– Twoja ostatnia godzina! – odpowiedziało mu coś w jego duszy, a może coś na zewnątrz. Przeraził się.

Następnego dnia znowu usłyszał stukanie, ale wyraźniejsze, myślał nawet, że to zegarek, który miał przy sobie.

Lecz nazajutrz, a był to dzień świąteczny, nie słyszał nic. Pomyślał, że coś jest niedobrze z jego słuchem, przestraszył się i poszedł na mszę. Pograżył się w myślach, narzekając na zmienność żywota. Opuściła go nadzieja, nadzieja dożycia tego wielkiego dnia, w którym miał otrzymać nagrodę za przebicie się przez ścianę, nadzieja zdobycia Gertrudy.

W poniedziałek stanął jak dawniej na przodku ze świdrem w rękę, tyle że przygnębiony, bo przestał już wierzyć, że spotkają się z Niemcami w środku góry.

Walił i walił, ale bez przekonania, tak jak waliło po przebytej chorobie jego serce. Nagle usłyszał huk i grzmot po drugiej stronie w samym środku góry. Zrozumiał wtedy, że chyba się jednak spotkają. Najpierw rzucił się na kolana i podziękował Bogu. Potem podniósł się i zaczął walić. Walił w czasie śniadania, w czasie obiadu, w czasie przerw i po południu. Walił lewą ręką, kiedy zmęczyła się prawa. Myślał o inżynierze, który poległ pod ścianą. Śpiewał

pieśń trzech mężów we wnętrzu rozpalonego pieca ognistego, gdyż powietrze prawie płonęło wokół niego, podczas gdy pot sączył mu się z czoła, a stopy nurzały w glinie.

Przy siódmym uderzeniu 28 lutego 1880 roku wałnął głową o świder, który przebił ścianę na wylot.

Oprzytomniał słysząc z drugiej strony gromkie „hurra” i wtedy zrozumiał, zrozumiał, że się spotkali, że była to ostatnia chwila tej męczarni i że stał się właścicielem dziesięciu tysięcy lirów.

Po krótkim westchnieniu do Miłościwego przyłożył usta do wywierconej dziury i szepnął tak, żeby nikt go nie usłyszał: Gertruda. Potem wzniósł dla Niemców dziewięciokrotny okrzyk „hurra”.

O jedenastej w nocy słyhać było donośne „hej hop” od włoskiej strony i ściana runęła z hukiem podobnym do kanonady w czasie oblężenia. Niemcy i Włosi z płaczem rzucili się sobie w ramiona, Włosi się całowali, a wszyscy razem padli na kolana śpiewając „Te Deum laudamus”.

Była to wielka chwila roku 1880, tego samego, kiedy Stanley powrócił z Afryki, a Nordensköld z wyprawy na statku *Wega*.

Kiedy ucichła pieśń dziękczynna na cześć Wszechmogącego, jeden z niemieckich robotników przekazał Włochowi zapisany pergamin. Było to pismo ku czci i pamięci naczelnego inżyniera Louisa Favre'a. To on pierwszy miał przejść przez tunel, a teraz Andrea roboczą kolejką zawiezie jego imię i wspomnienie o nim do Airolo.

I Andrea zrobił to, siedząc na wózku wiertniczym przed lokomotywą.

Był to wielki dzień! A i noc nie mniejsza.

W Airolo pito wino, włoskie wino, puszczano fajerwerki, wygłaszano mowy na cześć Louisa Favre'a, Stanleya i Nordenskölda! Wygłaszano mowy na cześć Świętego Gotharda, tajemniczego masywu, który przez tysiące lat był murem dzielącym Niemcy i Włochy, północ i południe. Tak, dzielił, ale jednocześnie łączył. Gdyż Święty Gothard uczciwie rozdzielał swe wody zarówno między niemiecki Rhen, jak i francuski Rhone, między Północne i Śródziemne Morze...

– I Adriatyk – dodał mieszkaniec Ticino – proszę nie zapominać o naszej rzece, która zasila największą z włoskich rzek, Pad.

– Brawo! Coraz lepiej! Niech żyje Święty Gothard, wielkie Niemcy, wolne Włochy i nowa Francja!

Była to wielka noc po wielkim dniu! Następnego ranka Andrea stawiał się w biurze inżyniera. Był ubrany w swój włoski myśliwski strój, z piórami na kapeluszu, dubeltówką na ramieniu i plecakiem. Twarz miał białą i białe ręce.

– No co, masz już dosyć tunelu – zapytał kasjer Andree. – Zresztą nie można mieć ci tego za złe, zostali tam tylko sami murarze. A więc, rachunek!

Kasjer otworzył księgę, wypisał karteczkę i odliczył dziesięć tysięcy lirów w złocie. Andrea podpisał się, stawiając krzyżyk, włożył złoto do plecaka i wyszedł. Wskoczył do kolejki i w dziesięć minut był już przy rozwalonej ścianie. Wewnątrz góry po obu stronach torów płonęły ognie, a robotnicy wykrzykiwali „hurra” i machali czapkami. To było cudowne!

Po kolejnych dziesięciu minutach był już po niemieckiej stronie, lecz zatrzymał się trochę wcześniej, jak tylko zobaczył w otworze światło dzienne.

Poszedł dalej piechotą. Ujrzał znów wioskę skąpaną w blasku słońca i zieleń. Była odbudowana, biała i lśniąca, piękniejsza niż przedtem. A kiedy tak szedł przed siebie, robotnicy pozdrawiali swojego przodownika.

Skierował się wprost do małego domku. Pod orzechem włoskim niedaleko uli stała Gertruda. Cicha, jeszcze piękniejsza i łagodniejsza niż przedtem, zupełnie tak, jakby czekała tam na niego przez te całe osiem lat.

- Tak więc przeszedłem – powiedział – jak obiecałem, przez środek góry! Czy pójdziesz teraz ze mną do mego kraju?
- Pójdę z tobą, dokąd zechcesz.
- Masz jeszcze tę obręcz?
- Mam.
- A więc idziemy! Nie, nie odwracaj się; nie wolno ci nic zabrać ze sobą! I poszli, trzymając się za ręce! Ale nie przez tunel.
- Do góry! – powiedział Andrea i poprowadził ją starą ścieżką. – Drogę do ciebie przebyłem w ciemnościach. Teraz chcę żyć w pełnym słońcu, z tobą i dla ciebie!

## JUBAL BEZ WŁASNEGO JA

Był sobie kiedyś król, który nazywał się Jan bez Ziemi, a przyczyny można się domyślić. Ale był też pewien wielki śpiewak, którego nazwano Jubal bez własnego „ja”, a jaka była tego przyczyna, zaraz się dowiemy.

Nazywał się Klang. W nazwisku, które otrzymał po ojcu żołnierzu, było coś dźwięcznego. Natura obdarzyła go też silną wolą, która niczym żelazny drąg prostowała mu plecy, a wielki to dar i przydatny w życiowych zmaganiach. Już jako dziecko, kiedy tylko zaczął mówić, nie używał, jak inne małe dzieci, słowa „on” mając na myśli siebie, tylko od razu nazywał siebie „ja”. „Co za ja?” mówili dorośli, „nie masz żadnego ja”. Kiedy był nieco starszy, wyrażał swoje życzenia używając formy „ja chcę”. Lecz słyszał wtedy: „Możesz sobie dużo chcieć...”.

Postępowanie takie było ze strony ojca nierozsądne, ale nie zdawał on sobie z tego sprawy, gdyż, jak każdy żołnierz, nauczył się chcieć tylko tego, czego chciał przełożony.

Małemu Klangowi wydawało się dziwne, że nie może mieć własnej woli, skoro właśnie tę wolę miał bardzo silną, ale tak już zostało.

Kiedy trochę podrośł, ojciec zapytał go pewnego dnia: „kim chcesz zostać?”

Chłopak nie bardzo wiedział, a poza tym przestał czegokolwiek chcieć, gdyż było to zakazane. Miał pewien pociąg do muzyki, ale bał się o tym powiedzieć, bo myślał, że mu zabronią. Dlatego odpowiedział, jak na posłusznego syna przystało: Nic nie chcę.

– Wobec tego zostaniesz piwniczym! – zdecydował ojciec.

Czy zrobił tak dlatego, że znał jednego piwniczego, czy też dlatego, że ciągnęło go do wina, trudno powiedzieć. Dość na tym, że młodego Klanga usadzono w piwnicy z winami i wcale nie było mu tam źle.

Pachniało tam przyjemnie czerwonym lakiem i francuskim winem, a obszerne pomieszczenia o łukowatych sklepieniach podobne były do kościelnych. Kiedy siedział przy beczce, z której ciekł czerwony trunek, czuł się naprawdę szczęśliwy, podśpiewywał więc rozmaite, nigdyś zasłyszane piosenki.

Gospodarz, który żył ze sprzedaży wina, lubił piosenki i zabawy, dlatego pozwolił chłopakowi śpiewać. Tak ładnie to zresztą brzmiało. A kiedy raz Klang zaintonował pieśń „Pod piwnicznym sklepieniem”, to aż klienci zeszli na dół, co się gospodarzowi bardzo spodobało.

Pewnego pięknego dnia przybył do gospody wędrowny handlarz, który kiedyś śpiewał w teatrze. Usłyszawszy Klanga, tak się zachwycił, że zaprosił go na wieczorną biesiadę.

Grali w kręgle, jedli raki z koprem, pili poncz, a przede wszystkim śpiewali.

Po wypiciu bruderszaftu handlarz zapytał Klanga w cztery oczy:

– Dlaczego nie zaangażujesz się do teatru?

– Ja? – zdziwił się Klang. – Czy naprawdę mógłbym?

– Powiedz tylko: chcę! A okaże się, że możesz.

Było to coś nowego, bo od kiedy Klang skończył trzy lata, nie używał słów „ja” ani „chcę”.

Teraz nie miał już odwagi ani chcieć, ani pragnąć i nie chciał się wystawiać na kolejną próbę.

Ale handlarz przychodził jeszcze wiele razy, aż w końcu przyprowadził ze sobą wielkiego śpiewaka. Pokusa okazała się zbyt silna i Klang pewnego wieczoru dokonał wyboru, za co został nagrodzony oklaskami przez prawdziwego profesora.

Pożegnał się więc z gospodarzem, a przy szklaneczce wina dziękował wędrownemu handlarzowi, który zwrócił mu wiarę w siebie i wolną wolę, „ten żelazny drąg, prostujący plecy i sprawiający, że człowiek nie chodzi na czterech”. Przynurzał, że nigdy nie zapomni przyjaciela, który nauczył go wierzyć w siebie.

Poszedł pożegnać się z ojcem i matką.

– Chcę zostać śpiewakiem! – powiedział tak głośno, że aż zadudniło w całej chacie.

Ojciec zaczął się rozglądać za dyscypliną, a matka się rozplakała. Nic to jednak nie dało.

– Pamiętaj, synku, żebyś nie zgubił samego siebie – powiedziała mu matka na pożegnanie.

Młody Klang dostał pieniądze na podróż za granicę. Tam nauczył się zasad śpiewu i w ciągu kilku zaledwie lat został wielkim śpiewakiem. Zarabiał pieniądze i miał nawet własnego dyrektora, który nim kierował.

Teraz nasz przyjaciel Klang rozkwitał, mógł mówić nie tylko „ja chcę”, ale również „ja każe”. Jego „ja” rozrosło się w nienaturalny wprost sposób i nie tolerowało w swoim towarzystwie żadnego innego „ja”. Nie odmawiał sobie niczego i zawsze był sobie wierny. Ale oto, kiedy miał pojechać z powrotem do kraju, dyrektor uświadomił mu, że nie wypada nazywać się Klang. Kiedy się jest wielkim śpiewakiem, trzeba nosić jakieś bardziej eleganckie nazwisko, najlepiej cudzoziemskie, bo tak się przyjęło.

„Wielki” stoczył ze sobą walkę, bo zmienić nazwisko to niezbyt przyjemna rzecz. Taka zmiana przypomina, że człowiek wyrzekł się ojca i matki, a to może być źle widziane.

Ale, jak to zwykle bywa, w końcu się zdecydował.

Szukał w Biblii, by znaleźć coś właściwego, i kiedy trafił na Jubalę, syna Lamecha, „który był ojcem wszystkich grających”, wybrał to imię dla siebie. Było bardzo odpowiednie i w dodatku po hebrajsku znaczyło „puzon”. Ponieważ dyrektor był Anglikiem, chciał, żeby Klang dodawał przed nazwiskiem „mister”, i tak też się stało. Nazwano go mister Jubal.

Nie byłoby w tym nic złego, tym bardziej że wówczas było to przyjęte, gdyby nie fakt, że wraz z nowym nazwiskiem Klang stał się innym człowiekiem. Cała przeszłość jakby dla niego umarła i mister Jubal czuł się jak rodowity Anglik. Mówił z angielskim akcentem, nosił baczki i wysokie kołnierzyki, a kraciaste ubrania leżały na nim jak ulał. Chodził sztywno, pozdrawiając znajomych od niechcienia, a kiedy ktoś go zawołał na ulicy, nigdy się nie odwracał, ponieważ nie przystoi to Anglikowi, w tramwaju natomiast zawsze stał pośrodku.

Sam siebie prawie nie poznawał!

Tymczasem wrócił do domu do swojego kraju i został wielkim śpiewakiem w Operze. Grał królów i proroków, bohaterów walczących o wolność i demonów. Był tak dobrym aktorem, że kiedy dawano mu jakąś rolę, wierzył, że sam jest tym, kogo gra.

Pewnego dnia szedł ulicą, a było to w czasie, kiedy grał demona, ale oczywiście jednocześnie również Jubalę.

Nagle usłyszał, że ktoś go woła:

– Klang!

Nie odwrócił się, rzecz jasna, gdyż Anglik tego nie robi, a poza tym nie nazywał się już Klang

Lecz „Klang” rozbrzmiało po raz drugi. Zobaczył przed sobą swojego przyjaciela, wędrownego handlarza, który przyglądał mu się nieśmiałym i pytającym wzrokiem:

– Czy to nie pan Klang?

Mister Jubal wcielił się wtedy w demona. Wyszczrzył zęby i z otwartymi ustami, tak jak wtedy, kiedy miał gdzieś z głębi czaszki wydobyć piersiowy ton, ryknął krótko:

– Nie!

W tym momencie przyjaciel poznał go i odszedł. Był mądrym człowiekiem, znał życie, ludzi i samego siebie na pamięć, dlatego nie był ani smutny, ani zdziwiony.

Mister Jubal przeżył to bardzo, a kiedy usłyszał w głębi swej duszy słowa : „Pierwej nim dwa razy kogut zapieje, trzy razy mnie się wyprzesz”, wszedł do bramy i, jak Piotr, gorzko zapłakał. Zrobił tak w myśli, bo w sercu miał demona, który się śmiał.

Od tego dnia również Jubal przeważnie się śmiał, z dobra i zła, smutku i wstydu, ze wszystkiego i wszystkich.

Jego ojciec i matka wiedzieli z gazet, kim jest mister Jubal, nigdy jednak nie poszli do Opery, gdyż byli zdania, że to tania rozrywka, i nie chcieli oglądać tam swojego syna.

Mister Jubal stał się największym z wielkich śpiewaków i zrezygnował czasowo ze znacznej części własnego „ja”, wolę jednak zachował.

Aż przyszła kolej i na nią! W balecie tańczyła pewna dziewczyna, która umiała czarować mężczyzn, i Jubal również został oczarowany. Tak nieszczęśliwie oczarowany, że zapytał ją, czy wolno mu będzie do niej należeć... (miał oczywiście na myśli, czy ona zechce należeć do niego, ale tak nie wypada powiedzieć).

– Możesz do mnie należeć – odrzekła czarodziejka – jeżeli dostanę...

– Dostaniesz wszystko! – odpowiedział Jubal.

Dziewczyna trzymała go za słowo i pobrali się. Najpierw nauczył ją śpiewać i grać, a potem miała już wszystko, czego zapagnęła. Ponieważ jednak była czarodziejką, chciała tego, czego on nie chciał, i tak powolutku zawładnęła jego wolą.

Pewnego pięknego dnia mistress Jubal została wielką śpiewaczką, tak wielką, że kiedy publiczność krzyczała „Jubal”, chodziło jej o panią, nie o pana.

Jubal próbował na nowo zdobyć sławę, ale robić to kosztem żony? Nie, tego nie chciał. Dlatego mu się to nie udało.

Zaczął być ignorowany i pomijany.

Krąg znamiennych przyjaciół, których mister Jubal w czasach kawalerskich zgromadził wokół siebie, zbierał się teraz w jego domu wokół pani Jubal, nazywanej po prostu Jubal.

Nikt nie zwracał uwagi na gospodarza, nikt z nim nie pił, nie próbował rozmawiać, nikt go nie słuchał, jakby nie istniał, a do jego żony odnoszono się tak, jakby nie była mężatką.

Tak więc mister Jubal został sam i samotnie chadzał do kawiarni.

Pewnego wieczoru przyszedł tam w poszukiwaniu towarzystwa. Było mu wszystko jedno, kto się trafi, byleby tylko ten ktoś był człowiekiem.

Zobaczył wtedy swojego starego przyjaciela, wędrownego handlarza, który siedział samotnie i najwyraźniej się nudził. Jubal pomyślał: „oto prawdziwy człowiek, stary Lundberg” i podszedł z pozdrowieniem do jego stolika. W tej samej chwili twarz przyjaciela zmieniła wyraz i stała się tak straszna, że Jubal zapytał:

– Czy to nie pan Lundberg?

– Ależ tak!

– Nie poznajesz mnie? Jubala?

– Nie!

– Nie poznajesz Klanga, twojego starego przyjaciela?

– Nie, Klang umarł dawno temu!

Wtedy Jubal zrozumiał, że w pewnym sensie rzeczywiście umarł, i wyszedł z kawiarni.

Następnego dnia pożegnał się z Operą i został nauczycielem śpiewu z tytułem profesora.

Wyjechał do obcego kraju i nie było go przez wiele lat.

Smutek i zgryzota sprawiły, że wcześniej się zestarzał.

Cieszył się jednak z tego, gdyż był to znak, że niewiele życia już mu pozostało.

Mimo to nie starzał się aż tak szybko, jak by sobie tego życzył, i dlatego sprawił sobie białą perukę z długimi lokami. Czuł się w niej dobrze, gdyż był wówczas nie do poznania nawet dla samego siebie.

Przechadzał się po ulicach długimi krokami, z rękami założonymi do tyłu i dumął. Można by pomyśleć, że kogoś szukał lub na kogoś czekał. Ktoś, kto napotkał jego oczy, zaraz

widział, że jest w nich pustka. Jeżeli ktoś próbował zawrzeć z nim znajomość, wnet zauważał, że rozmowa zawsze dotyczyła tylko rzeczy i spraw. Jubal nigdy nie mówił „ja”, nigdy „ja sędzę” tylko „wydaje się, że”. Utracił swoje własne „ja”. Odkrył to pewnego dnia, kiedy miał zamiar się ogolić. Namydlił się i podszedł z brzytwą do lustra. Zobaczył w nim odbicie pokoju z tyłu za sobą, ale nie zobaczył własnej twarzy. Zrozumiał wtedy, co mu się przytrafiło. Ogarnęła go gwałtowna potrzeba odzyskania własnego „ja”. Ponieważ najlepszą część swojej woli oddał żonie, postanowił ją odszukać.

Kiedy przyjechał do kraju w białej peruce, chodził ulicami miasta, nikt go nie poznawał. Pewien muzyk, który był we Włoszech, zobaczył Jubala na ulicy i powiedział głośno:

– To maestro.

I Jubal od razu poczuł się, jakby był wielkim kompozytorem. Kupił papier nutowy i zaczął pisać partyturę, no powiedzmy, że partyturę. Wypisywał na pięcioliniach rzędy długich i krótkich nut oczywiście na skrzypce, na instrumenty dęte drewniane, a resztę na blaszane. Wysłał potem partyturę do konserwatorium, ale nikt nie potrafił jej zagrać, gdyż były to tylko pojedyncze nuty.

Innym razem, kiedy szedł ulicą, minął malarza, który był kiedyś w Paryżu.

– To z pewnością jest model – powiedział malarz.

Usłyszał to Jubal i od razu pomyślał, że jest modelem, ponieważ wierzył we wszystko, co kto o nim powiedział. Nie wiedział zupełnie, kim ani czym jest. Przypomniał sobie żonę, która zabrała mu jego „ja” i postanowił ją odnaleźć. Okazało się jednak, że wyszła powtórnie za mąż za barona i wyjechała gdzieś daleko.

Zmęczony szukaniem zatęsknił, jak wszyscy zmęczeni mężczyźni, do pierwszych dni swego dzieciństwa, do matki. Wiedział, że owdowiała i że mieszka w górach w jakiejś ruderze. Pojechał tam.

– Nie poznajesz mnie? – zapytał.

– A jak się nazywasz? – spytała matka.

– Nie wiesz, jak się nazywa twój syn?

– Mój syn nazywał się Klang, a ty nazywasz się Jubal. Nie znam nikogo takiego.

– Wyrzekasz się mnie!

– Jak ty wyrzekłeś się siebie i matki.

– Dlaczego więc, kiedy byłem małym dzieckiem, odebraliście mi wolę?

– Swoją wolę oddałeś kobiecie.

– Musiałem, inaczej bym jej nie zdobył, ale dlaczego mówiliście, że nie mam własnej woli?

– To ojciec tak twierdził, drogie dziecko, a on tego nie rozumiał. Wybacz mu, bo już nie żyje. Poza tym dziecko nie powinno mieć własnej woli, a dorosły musi ją mieć.

– Ależ ty to mądrze powiedziałaś, mamó! Dziecko nie powinno mieć woli, ale dorosły musi ją mieć.

– Posłuchaj, Gustawie – powiedziała matka – Gustawie Klang...

Było to jego imię i nazwisko i kiedy je usłyszał, znów stał się sobą. Wszystkie role, królowie i demony, maestrowie i modele, wszystko to zniknęło, a on był tylko synem swojej matki.

Położył głowę na jej kolanach i powiedział:

– A teraz chcę umrzeć! Ja chcę umrzeć!



## ZŁOTOGŁOWI Z ÅLLEBERG

Anders urodził się w Falbygden i w młodości maszerował po kraju z łokciem krawieckim i belą materiału. Lecz pewnego dnia pomyślał, że lepiej jest maszerować z karabinem, zdzierając przy tym państwowe ubranie, i zaciągnął się do wojska w Västgöta-Dal. Dzięki temu odkomenderowano go pewnego razu do służby wartowniczej w Sztokholmie.

Nasz przyjaciel Kask, bo tak się teraz nazywał, dostał któregoś dnia przepustkę i chciał wybrać się do Skansenu. Kiedy jednak stanął przed bramą, okazało się, że nie ma pięćdziesięciu öre i nie może wejść do środka. Popatrzył na płot i pomyślał: obejdę go dookoła, musi być przecież dalej jakieś przejście, a jak będzie trzeba, to przedostanę się górą.

Słońce już zachodziło, kiedy Kask szedł powoli nad brzegiem wody, posuwając się wzdłuż podnóża góry, ale płot wciąż ciągnął się gdzieś wysoko, skąd dochodził śpiew i muzyka. Kask chodził i chodził w kółko, lecz nie dostrzegł żadnego przejścia, a płot zniknął w leszczynowym lasku. Zmęczony usiadł na pagórku i zaczął rozłupywać orzechy.

Wtedy przybiegła wiewiórka i zaczęła zadzierać nosa:

– Zostaw moje orzechy!

– Dobrze, jeśli pokażesz mi przejście – odrzekł Kask.

– To kawałek drogi stąd – odpowiedziała wiewiórka.

Skoczyła przodem, a żołnierz za nią. I już jej nie było.

Zaszeleściły liście i nadszedł jeź.

– Pójdź za mną – powiedział – a zobaczysz przejście.

– Pójść za tobą, kolczatku! Nie, dziękuję!

Jeź jednak wciąż mu towarzyszył. Wtedy zjawiała się żmija, bardzo wytworna sztuka. Umiała seplenić i wywijać różne esy floresy.

– Chodź ssse mną, a sssobacys psssejście!

– Idę – powiedział Kask.

– Ale masss być gzecny i ssstarać się na mnie nie nadepnąć! Ucieknę, jak mnie sssaboli.

– Żołnierz, co prawda, nie zna się na grzeczności – powiedział Kask – ale dobrze przynajmniej, że nie mam na sobie butów z cholewami.

– Nadepnij na nią – radził jeź – bo cię inaczej bardzo grzecznie ukąsi.

W tej samej chwili żmija zasyczała, uniosła przednią część ciała i rzuciła się do kąszenia.

– Uwważaj! – powiedział jeź i zaatakował żmiję. – Nie jestem tak wytworny jak ona, ale pokażę jej, po co mam kolce.

Rozprawił się ze żmiją i zniknął.

Żołnierz został w lesie sam, żalując, że zlekceważył kolczastą kulkę.

Zaczęło się ściemniać, ale przez brzożowe liście przeświecał półksiężyc. Wokół panowała całkowita cisza.

Nagle żołnierzowi wydało się, że widzi dużą, żółtą łapę, machającą w tę i z powrotem. Poszedł w tamtą stronę, lecz był to tylko liść klonu, który nieraz gestykułuje tak swoimi palcami, chociaż nie wiadomo, o co mu chodzi.

Kiedy Kask stał tak i patrzył, dobiegł go szept osiki:

– Tak mi zimno – mówiła – całe nogi mam przemoczone i bardzo się boję.

– Czego się boisz? – zapytał żołnierz.

– Tam, w środku góry siedzi krasnal.

Żołnierz zrozumiał wtedy, co oznaczało machanie klonu. Rzeczywiście zobaczył krasnala, który siedział we wnętrzu góry i warzył kaszę.

– Coś ty za jeden? – zapytał krasnal.

– Służę w Vässkötta-Dal, a ty?

– Ja w Älleberg – powiedział krasnal.

– Ale Älleberg leży w Vastergyll – odrzekł żołnierz.

– Tak, teraz jednak przenieśliśmy się tutaj! – odpowiedział mu krasnal.

– Kłamiesz! – krzyknął żołnierz, chwycił garnek za ucho i wrzucił kaszę do ognia.

– A teraz obejrzymy sobie tę mysia norę – powiedział i wszedł do wnętrza góry.

Siedział tam olbrzym przy wielkim ognisku i rozgrzewał do czerwoności pogrzebacz.

– Dzień dobry, dzień dobry – powiedział żołnierz i wyciągnął rękę.

– A, dzień dobry – odpowiedział olbrzym i wyciągnął zamiast ręki gorący, czerwony pogrzebacz.

Kask uściskał go i przytrzymał, aż zasyczało.

– Gorące masz ręce! – powiedział. Jak się nazywasz?

– Szwed Olbrzym – odpowiedział troll.

– To był starodawny, prawdziwie szwedzki uścisk dłoni i teraz już nie mam wątpliwości, że jestem w Älleberg. Może śpią tu także Złotogłowi?

– Ciszej! – powiedział olbrzym i pogroził mu pogrzebaczem. – Zobaczysz ich, bo służysz w Vässkötta-Dal, ale najpierw musisz odgadnąć zagadkę.

– Jeśli masz ochotę poprzekomarzać się ze swoim ziomkiem, to proszę bardzo, tylko najpierw odłóż ten pogrzebacz.

– No więc, Kask, jeżeli opowiesz całą historię Szwecji, zanim wypalę fajkę, obejrzysz Złotogłowych. Pamiętaj, całą historię Szwecji.

– Spróbuję, mimo że w szkole dla kaprali nie byłem orłem. Najpierw muszę sobie co nieco przypomnieć.

– Jest jeden warunek: nie wolno ci wymienić żadnego króla z nazwiska, bo wówczas tamci w środku się zezłoszczą, a nie muszę ci chyba mówić, co się dzieje, kiedy się złoszczą...

– Okropnie trudne zadanie, ale zapalaj fajkę, bo zaczynam. Masz ogień.

Żołnierz przez chwilę wyteżył się tak, że aż włos zjeżył mu się na głowie, a potem zaczął:

– Raz, dwa, trzy! Anno 1161 i trochę później powstaje Szwecja: państwo, król, arcybiskup – czy to wystarczy?

– Nie – powiedział Szwed – to za mało. Jeszcze raz.

– A więc tak! Anno 1359 jest już naród szwedzki, bo zebrał się parlament, złożony z przedstawicieli czterech stanów, który przetrwał z przerwami aż do roku 1866.

– Ty, jako żołnierz – powiedział Szwed – powinieneś chyba powiedzieć kilka słów o wojnie.

– Tylko dwie wojny miały właściwie jakieś znaczenie i obie zakończyły się traktatami pokojowymi; tym w Brömsebro w 1645 roku, kiedy otrzymaliśmy Härjedalen, Jämtlandię i Gotlandię, i tym w Roskilde w 1658, kiedy dostaliśmy Skanię, Hallandię, Blekingę i Bohusian. Na tym historia Szwecji właściwie się kończy, wszystko inne to tylko bójki.

– No, a konstytucje?

– Mieliśmy jedynowładztwo od 1680, które przetrwało do 1718; potem nastął czas demokracji aż do roku 1789, gdy przywrócono jedynowładztwo. W roku 1809 Adiersparre dokonał rewolucji i pozwolił, by Hans Järta napisał nową konstytucję, aktualną do dziś. Więcej nie musisz wiedzieć. No i co, wypaliłeś już fajkę?

– No, cóż – odrzekł olbrzym. – Jest remis. Zobaczysz Złotogłowych!

Stary podniósł się z trudem i skierował do wnętrza góry, a żołnierz podążył za nim.

– Idź po cichu! – powiedział olbrzym, pokazując na jakiegoś rycerza w złotym hełmie, śpiącego na siedzący przy drzwiach w skale. Lecz w tej samej chwili Kask potknął się i uderzył obcasem podbitym żabką o kamień, aż się iskry posypały.

Wtedy rycerz w złotym hełmie od razu się obudził, jakby przysnął tylko na chwilę na warcie, i krzyknął:

– Czy już czas?

– Jeszcze nie! – odpowiedział olbrzym.

Rycerz w złotym hełmie usiadł i zasnął natychmiast z powrotem.

Olbrzym otworzył ścianę góry i żołnierz ujrzał przed sobą ogromną salę. Nieskończenie długi stół ciągnął się pośrodku sali, a w półmroku widać było zgromadzenie złotogłowych, siedzących na krzesłach z wysokimi oparciami, na których widniały złote korony. W końcu stołu siedział mężczyzna wyższy o głowę od pozostałych. Brodę miał po pas niczym Mojżesz lub Izajasz, a w ręku trzymał młotek.

Wydawało się, że śpią, ale nie takim snem, który nocą przywraca siły, ani też nie takim, który nazywa się wieczny.

– Teraz uważaj – powiedział olbrzym – bo zobaczysz doroczną naradę.

Nacisnął na wielki granat w skalnej ścianie i w tym samym momencie zapłonęło tysiąc płomieni.

Złotogłowi obudzili się.

– Kto tam? – zapytał mężczyzna z brodą proroka.

– Szwed! – odpowiedział olbrzym.

– Dobre imię! – odrzekł Gustaw Eriksson Waza, gdyż on to był.

– Jak daleko posunęliśmy się w czasie?

– Do roku tysiąc dziewięćset trzeciego po narodzeniu Chrystusa.

– Czas płynie. Azali my także postąpiliśmy do przodu? Azali kraj nasz i ludzie nasi żyją jeszcze?

– Żyjemy! A od czasów Gustawa Pierwszego kraj powiększył się o Jämtlandię, Härjedalen i Gotlandię.

– Któż zdobył te ziemie?

– Wydarzyło się to pod rządami królowej Krystyny, ale zdobył je regent.

– A później?

– Później otrzymaliśmy Skanię, Hallandię, Blekinge i Bohuslän.

– Do licha! Kto zdobył te ziemie?

– Karol X Gustaw.

– A później?

– Później nic już się nie wydarzyło!

– To wszystko?

Teraz rozległo się stukanie w stół.

– Święty Eryk prosi o głos – powiedział Gustaw Waza.

– Nazywam się Eryk Jedvardson i nigdy nie byłem święty. Czy mógłbym zapytać Szweda, co działo się z moją Finlandią?

Finlandia wróciła do Rosji na żądanie Ligi z Anjala i na mocy traktatu pokojowego we Fredrikshamn w 1809 roku, kiedy to Finowie złożyli hołd carowi.

Gustaw II Adolf poprosił o głos.

– A cóż się dzieje z krajami nadbałtyckimi? – zapytał.

– Odebrane przez właścicieli – odpowiedział Szwed.

– A cesarz? Jest jeszcze?

– Jest dwóch cesarzy, jeden w Berlinie i jeden w Wiedniu.

– Dwóch Habsburgów?

– Nie, jeden jest Habsburgiem, a jeden Hohenzollernem i to się nazywa niemiecka jedność, jak mawia Bismarck!

– Niepojęte! A katolicy w północnych Niemczech czy są nawróceni?

– Nie, katolicy stanowią większość w północnoniemieckim parlamencie i cesarz z Berlina stara się wpłynąć na kolegium kardynalskie, by móc decydować o wyborze papieża.

– To wciąż jeszcze jest papież?

– Tak, wciąż mamy papieża, mimo że dopiero co pochowaliśmy jednego.

– A czegoż chce Brandenburczyk w Rzymie?

– Nie wiadomo. Niektórzy mówią, że chce zostać rzymsko-niemieckim cesarzem ewangelickiego wyznania.

Taki synkretyczny cesarz, o jakim marzył Jan i Jerzy. Nie chcę dłużej tego słuchać. Niezbadane są wyroki świata tego, a my, śmiertelnicy, czymże jesteśmy? Prochem i kurzem!

Karol XII poprosił o głos.

– Czy Szwed mógłby mi powiedzieć, co dzieje się z Polską?

– Polski już nie ma. Została podzielona!

– Podzielona? A Rosja?

– Rosja właśnie obchodziła rocznicę założenia Petersburga, a w pochodzie szedł burmistrz Sztokholmu.

– Jako jeniec?

– Nie, jako gość. Obecnie wszystkie narody zbliżyły się do siebie. W Chinach stacjonuje dobrowolnie francuski korpus wojskowy pod dowództwem niemieckiego feldmarszałka.

– Niesłychane! Czyżby przyjaźniono się dziś z wrogami?

– Tak, ludzie są przesiąknięci duchem chrześcijańskim, a w Hadze działa bezustannie Trybunał Sprawiedliwości.

– Co takiego?

– Trybunał Sprawiedliwości.

– Mój czas dobiegł końca! Niech się dzieje wola Boża!

Król opuścił przyłbicę i więcej już się nie odezwał.

Karol XI poprosił o głos.

– No, Szwedzie, jak tam jest z finansami naszej starej Szwecji?

– Trudno powiedzieć, gdyż nie sędzę, by rachunki były sumiennie prowadzone. Ale jedno jest pewne, że połowa szwedzkiej ziemi jest zastawiona za granicą i zadłużona na blisko 300 milionów.

– O, mój Boże!

– A długi gmin dochodzą do 200 milionów.

– 200?

– Natomiast w latach 1881–1885 opuściło Szwecję 146 tysięcy Szwedów.

– Nie chcę tego dłużej słuchać!

Gustaw Waza zastukał młotkiem w stół.

– Rozumiem, że w kraju nie dzieje się dobrze. Leniwiśmy, próżniaczy, zawistni, niefrasobliwi, nieskorzy do roboty, a prędcy do szkody. Ale powiedz mi, Szwedzie, jak tam z moim Kościołem, z moimi księżmi?

– Księża zajmują się uprawą roli i mleczarstwem, biskupi siedzą z 30 tysiącami koron pensji i gromadzą pieniądze, zupełnie jak przed postanowieniami parlamentu w Västerås. Większość z nich zresztą to heretycy albo raczej, jak my to nazywamy, wolnomyśliciele. Wszyscy spodziewają się nowej reformacji, która wkrótce pewnie nastąpi.

– Co? Co?...A cóż to za muzyka i pieśni tam w górze?

– To Skansen! Taka góra, na której zgromadzono wszelkiego rodzaju wiejskie pamiątki. Zupełnie tak jak się zbiera pamiątki przeszłości w przecuciu bliskiego końca. Ma to pewną wartość dla ojczyzny, ale nic poza tym.

– Na podstawie tegorocznego spotkania widać, że dzieło przodków i ich czyny zostały porwane przez strumień czasu; niektóre wypłynęły na wierzch, inne poszły na dno. Siedzimy tu niczym swoje własne cienie, a dla żyjących nie przedstawiamy już żadnej wartości... Zgasić światło!

Szwed Olbrym zgasił światło i wyszedł, a w ślad za nim żołnierz. Szwed poprosił, żeby Kask wszedł do czegoś, co było podobne do klatki.

– Jeżeli o tym opowiesz, spotka cię nieszczęście.

Rozumiem – odrzekł Kask. – Zachowam to jednak w pamięci! I pomyśleć, że przepili naszą starą Szwecję, a potem oddali za granicę w zastaw! To straszne, jeśli to prawda!

Pyk! Coś zazgrzytało w silniku i winda zawiozła żołnierza do Skansenu. Właśnie zachodziło słońce i rozległo się bicie dzwonów z Håsjöstapecn, a Gustaw Waza w otoczeniu oddanych mu żołnierzy z Dalarny triumfalnie wjeżdżał do Sztokholmu.

## JAK MODRASZEK ZNALAZŁ ZŁOTOROST

Pewien bogacz przybył raz na biedną wyspę i od razu się w niej zakochał. Dlaczego, tego nie wiedział, ale został nią po prostu oczarowany. Może dlatego, że wyspa ta obudziła w nim wspomnienia z dzieciństwa, a może przypomniała mu jakiś piękny sen.

Kupił wyspę, wybudował willę i zasadził rozmaitej piękności drzewa, krzewy oraz kwiaty. Wokoło rozciągało się morze. Miał swoją własną przystań z masztem do wciągania flagi i białe łódki; dęby wielkie niczym kościoły ocieniały jego dom, a rześkie wiatry przelatowały ponad zielonymi łąkami. Miał żonę, dzieci, służbę, zwierzęta pociągowe; miał wszystko oprócz jednej, maleńkiej, ale najważniejszej rzeczy, rzeczy, o której wcześniej nie pomyślał: słodkiej wody. Kopano więc studnie i wysadzano w górach skały, ale zawsze płynęła tylko słona, brązowa woda. Filtrowano ją, dzięki czemu stawała się przejrzysta jak kryształ, ale w dalszym ciągu była słona. I w tym tkwiło całe zło.

Żył wówczas pewien wybraniec boży, któremu zawsze wszystko się udawało i który był jednym z najslawniejszych ludzi na świecie. Wszyscy do dziś pamiętają, jak dotknął skały swoją diamentową różdżką i, niczym Mojżesz, sprawił, że trysnęła z niej woda. Na wyspie też użyto diamentowych świdrów w nadziei, że i tu ze skał tryśnie woda, jak tryskała we wszystkich innych górach. Wiercono więc za sto talarów, za tysiąc, za kilka tysięcy, ale wciąż znajdowano jedynie słoną wodę. Najwyraźniej miejsce to nie cieszyło się bożą łaską i bogacz zrozumiał, że nie wszystko można dostać za pieniądze, a w szczególności szklanki świeżej wody, nawet, gdyby człowiekowi zrobiło się słabo.

Ciężko mu było na duszy i życie przestało go cieszyć. Nauczyciel, mieszkający na tej samej wyspie, zaczął wertować stare księgi i posłał po starca z różdżką, ale i to nie na wiele się zdało.

Ksiądz, który był jeszcze mądrzejszy, zebrał pewnego dnia wszystkie dzieci ze szkoły i wyznaczył nagrodę dla tego, kto odnajdzie ziele zwane złotorostem. Rośnie ono na miejscu, w którym powinno znajdować się źródło.

– Kwiaty ma niczym przywrotnik, liście niczym skalnica ziarenkowata, zwana inaczej paprotnicą krucho. Wyglądają na wierzchu jak obsypane złotym pyłem. Pamiętajcie!

– Kwiaty jak przywrotnik, liście jak skalnica – powtórzyły dzieci i pobiegły do lasu i na łąki w poszukiwaniu złotorostu.

Ale żadne z nich nie znalazło ziela. Jeden chłopczyk wrócił do domu z wilczomleczem, na czubku trochę złotawym, ale trującym. I to nie było to. Prędko znudziło im się szukanie.

Na wyspie mieszkała również mała dziewczynka, która jeszcze nie chodziła do szkoły. Jej ojciec był dragonem, miał niewielką zagrodę i był bardziej biedny niż bogaty. Jego jedynym skarbem była właśnie ta mała córeczka, którą nazwano we wsi pięknym imieniem Modraszek, ponieważ zawsze miała na sobie błękitnoniebieską bluzeczkę z szerokimi rękawami, które powiewały na wietrze, kiedy się poruszała. Modraszek to taki mały niebieski motylek, którego można zobaczyć w trawie w pełni lata. Jego skrzydełka przypominają płatki kwiatów lnu, fruwający kwiat lnu, z aparatem ssącym zamiast pęcika.

Modraszek, oczywiście ten dragona, był niezwykłym dzieckiem, odzywał się rzadko, ale zawsze mądrze. Nie wiadomo było, skąd biorą się u dziewczynki takie mądre słowa. Wszyscy ją lubili, nawet zwierzęta; szły za nią kury i cielaki, a byk pozwalał jej się głaskać. Dziewczynka często bawiła się sama, czasami gdzieś przepadała, a potem wracała. Kiedy jednak ktoś spytał, gdzie była, nie mogła odpowiedzieć, mimo że miała naprawdę dużo do

opowiedzenia. Widywała niezwykle rzeczy, spotykała starców i staruszki, którzy opowiadali jej to i owo. Dragon pozwalał jej na te wycieczki, gdyż wierzył, że coś ją chroni od złego.

Pewnego ranka Modraszek wybrał się na wędrowkę. Małe nóżki niosły dziewczynkę przez łąki i pastwiska. Podśpiewywała sobie piosenki, których nikt przedtem nie słyszał i które sama wymyśliła. Poranne słońce świeciło tak młodo i ślicznie, jakby dopiero co się narodziło, powietrze było rześkie i wyspane, rosa parowała, a jej świeża wilgoć chłodziła małą twarzyczkę Modraszka.

Jak tylko dziewczynka weszła do lasu, spotkała zielono odzianego staruszka.

– Dzień dobry, Modraszku – powiedział starzec. – Jestem ogrodnikiem na Słonecznej Polanie. Chodź ze mną, pokażę ci swoje kwiaty.

– Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt – odpowiedział Modraszek.

– Ależ nie, przecież nigdy nie skrzywdziłaś żadnej rośliny.

Poszli więc razem i wkrótce znaleźli się nad brzegiem morza. Piękny mały mostek prowadził wprost na wysepkę.

Był tam ogród! A w nim wszystko: i duże, i małe, uporządkowane jak w książce.

Ogrodnik mieszkał w domu z wiecznie zielonych drzew, sosen, świerków i jałowców, pokrytych chrustem; podłogi były utkane z zawsze zielonych krzewów i ziół, a szczeliny wypełnione ciasno mchami i porostami. Bażyny, zimozioły i niedźwiedzie grono zastępowały deski. Sufit składał się z pnączy: był tam winobluszcz, kozilistek, klematis i pospolity bluszcz, a wszystko splecione tak ciasno, że ani jedna kropla deszczu nie przedostawała się do środka.

Przed drzwiami stały ule, lecz zamiast pszczoł mieszkwały w nich motyle. Cóż to był za widok, kiedy wylatywały ze środka!

Nie lubię męczyć pszczoł – powiedział starzec – a zresztą są takie brzydkie.

Wyglądają jak owłosione ziarenka kawy i w dodatku kłują jak żmije.

Weszli do ogrodu.

– A teraz będziesz czytać z elementarza natury, poznasz tajemnice kwiatów i działanie ziół. Nie możesz jednak o nic pytać, możesz tylko słuchać i odpowiadać... Spójrz tu, drogie dziecko, na tym granicze rośnie coś, co przypomina szary papier. Pojawia się, kiedy góra zmoknie. Góra pleśnieje, a pleśń nazywamy porostem. Tu mamy dwa rodzaje porostów. Jeden przypomina rogi renifera i nazywa się chrobotek reniferowy. Jest głównym pożywieniem reniferów. Drugi to mech islandzki i przypomina... No, co on przypomina?

– Przypomina płuco, tak jest przynajmniej napisane w podręczniku do przyrody.

– Tak, pod szkłem powiększającym przypomina pęcherzyki płucne i dlatego ludzie nauczyli się używać go w chorobach układu oddechowego. Kiedy porosty utworzą warstwę próchnicy, pojawiają się mchy. Mają coś w rodzaju prostych kwiatków i rozsiewają zarodniki, a wyglądają jak lodowe kwiaty, które mróz maluje zimą na szybach. Zauważ jednak, że przypominają także wrzosi i drzewa iglaste, i wszystko, co tylko możliwe, bo rośliny tworzą jedną wielką rodzinę. Na przykład ten rokitnik jest podobny do choinki, ale owocnię ma jak mak, chociaż może trochę skromniejszą. Na mchach pojawiają się kwitnące wrzosi. Gdybyś popatrzyła na wrzosi przez szkło powiększające, to zobaczyłabyś, że przypominają wierzbowkę kiprzycę, po łacinie *epilobium*, albo rododendron, albo wiąz, który jest tylko wielką pokrzywą. Pożywienie z próchnicy jest gotowe i już może na nim rosnąć wszystko. Człowiek potrafi wykorzystać część roślin, ale natura sama dostarcza mu wskazówek, które rośliny są pożyteczne i jak należy ich używać... Nie ma w tym nic dziwnego, podobnie jak nie ma nic dziwnego w pięknie i barwach, które przybierają kwiaty, by poinformować owady, gdzie się znajduje słupek. Popatrz na len, roślinę najbardziej pożyteczną ze wszystkich, a przekonasz się, że to ona sama nauczyła człowieka prząść. Popatrz tylko na jej kwiat, a zobaczysz pręciki, które otaczają słupek niczym paździerze włókno. Aby wyrazić się jaśniej: natura pozwoliła na przykład pewnej roślinie, będącej pasożytem, a zwanej wilcem, owijać

się dokoła innych roślin w górę i w dół niczym czółenka w krośnie. Dziwne, że to nie człowiek, ale motyl odkrył pierwszy, że len można prząść. Nazywa się zwójka, a przędzie z liści i własnej nici małą kołyskę i prześcieradło dla swoich dzieci. Jest na tyle sprytny, i tak świadomy czasu, że tuż przed zebraniem lnu, jego potomstwo jest gotowe do odlotu.

A zioła lecznicze! Pomyśl tylko! Spójrz na ten wielki mak, płomienny jak gorączka i obłąkanie! Na dole kwiatu jest czarny krzyżyk – apteczny symbol oznaczający truciznę. Pośrodku krzyżyka tkwi rzymska waza z nacięciami. Kiedy zacnie się je żłobić, popłynie leczniczy sok, który – źle użyty – może spowodować śmierć, ale dobrze użyty sprowadzi miłego brata śmierci sen. Oto jak mądra i szczodra jest natura. No, ale teraz obejrzymy sobie złotorost!...

Staruszek zrobił pauzę, żeby zobaczyć, czy Modraszek okaże się ciekawski. Ale nie.

– A więc teraz obejrzymy sobie złotorost!

I jeszcze jedna pauza! Modraszek umiał milczeć, mimo że był jeszcze taki malutki.

Obejrzymy złotorost, który ma kwiaty przywrotnika, a liście paprotnicy. Jest to znak rozpoznawczy miejsca, w którym znajduje się źródło. Przywrotnik gromadzi w swoich liściach rosę i wodę, dzięki czemu sam jest malutkim źródłem, a paprotnica kruszy góry. Bez gór nie ma źródła, a góra czasem znajduje się gdzieś bardzo daleko. To właśnie mówi złotorost tym, którzy go rozumieją. Rośnie on na tej wyspie, a tobie w nagrodę, że jesteś taka milutka, będzie dane zobaczyć to miejsce. Z twojej małej rączki bogacz otrzyma świeżą wodę dla swej spragnionej duszy i dzięki tobie wyspa ta będzie błogosławiona. Idź w pokoju, moje dziecko. Kiedy znajdziesz się w leszczynowym lesie, zobaczysz po prawej stronie srebrzystą lipę, a pod nią padalca, który nie jest niebezpieczny. Pokaże ci drogę do złotorostu. Zanim jednak odejdziesz, dasz dziadkowi buzi, oczywiście jeśli zechcesz.

Modraszek przysunął swą malutką buźkę do staruszka i pocałował go. Wtedy twarz starego rozjaśniła się i odmłodziła o pięćdziesiąt lat.

– Pocałowałem dziecko i otrzymałem dar młodości! – powiedział ogrodnik. – Nie dziękuj mi więc i żegnaj!

Modraszek powędrował do leszczynowego lasu. Szumiała tam srebrzysta lipa, a w jej kwiatach grały trzmielce. Padalec leżał dokładnie tam, gdzie miał leżeć, tylko że był nieco zdenerwowany.

– Spójrzcie, kto przyszedł! To Modraszek, który ma dostać złotorost! – powiedział.

– Dostaniesz go, pod warunkiem, że nie jesteś plotkarką, kłamczuchą ani ciekawską. Idź teraz prosto przed siebie, a trafisz na złotorost.

Modraszek poszedł przed siebie i spotkał staruszkę.

– Dzień dobry – powiedziała staruszka. – Podobno byłeś u ogrodnika na Słonecznej Polanie?

– Dzień dobry – odpowiedział Modraszek i poszedł dalej.

– Widzę, że nie jesteś plotkarką – stwierdziła staruszka.

Wtedy dziewczynka spotkała Cygana.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Prosto przed siebie! – odpowiedział Modraszek.

– Widzę, że nie kłamiesz! – rzekł Cygan.

Następnie zobaczyła mleczarza z wozem i koniem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego koń siedział na wozie, a woźnica był zaprzęgnięty do wozu.

– Ruszam z kopyta – powiedział woźnica i tak szarpnął, że koń wylądował w rowie... – A teraz podleję żyto – dodał i odkorkował butelkę z mlekiem, żeby podlać pole.

Modraszek pomyślał, że to dziwne, ale nawet nie spojrział w tamtą stronę, tylko poszedł dalej.

– Nie jesteś też ciekawska – powiedział mleczarz.



Wtedy Modraszek stanął u stóp góry. Słońce przeświecało przez leszczyny i padało na zieloną łądkę soczystej rośliny, która błyszczała niczym najszczerze złoto.

Był to złotorost i Modraszek zobaczył, jak z wnętrza góry wypływają strużki wody w kierunku łąki bogacza.

Dziewczynka uklękła i zerwała trzy złotorosty, które schowała do fartuszka. Następnie wróciła do domu do ojca.

Dragon włożył hełm, kurtkę, wziął szablę i poszedł do księdza. Po czym wszyscy troje udali się do bogacza.

– Modraszek znalazł złotorost! – oznajmił ksiądz, kiedy stanęli w drzwiach salonu.

– Jesteśmy więc bogaci, cała wioska! Teraz będzie tu kurort!

I rzeczywiście powstał tam kurort. Przypłynęły parostatki i zjawili się kupcy. Wybudowano gospodę i pocztę, zaczął działać lekarz i apteka. Każdego lata do wioski płynęło strumieniami złoto. I tak oto kończy się bajka o złotoroście, który zamienił się w prawdziwe złoto.